



TYGODNIK KRAJOZNAWCZY ILLUSTROWANY

Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

Zamek w Niedzicy na Spiszu.



DO NASZYCH CZYTELNIKÓW.

W wyjątkowo radosnej i uroczystej chwili wznawiamy wydawnictwo „Ziemi”. Polska, wolna już i zjednoczona, odradza się do nowego życia, zaczyna oddychać pełną piersią po długich latach ucisku i niewoli. Jednocześnie bohaterska armja, stworzona, jak na skinienie różdżki czarodziejskiej, zdobywa i utrwała w naszym posiadaniu dawno odpadłe od nas ziemie. Przeżywamy jakby cudny sen, który z dniem każdym coraz realniejszą staje się rzeczywistością.

Celem i zadaniem „Ziemi” było od początku jej istnienia — jednoczenie wszystkich dzielnic polskich we wspólnym wysiłku duchowym ku poznaniu i zbadaniu najwszechstronniejszemu naszego kraju, oraz nawiązywanie żywych nici łączności między Macierzą a jej synami, rozproszonymi po kresach odległych. Narówni też z Łowickiem, Kurpiami lub Podhalem interesowały zawsze jak najżywiej naszą redakcję zarówno sprawy Śląska, Pomorza lub Mazowsza Pruskiego, jak Litwy, Białorusi, Wołynia i Podola.

Dziś wzajemne zapoznanie się rodaków, wzajemne zaznajomienie się z charakterem innych dzielnic, z ich życiem, z ich warunkami fizycznymi i kulturalnymi, staje się nagłą potrzebą ogółu polskiego. Pryskają okowy życia dzielnicowego, zaczyna się jedno wspólne życie powszechne polskie. Ale to jednoczenie się we wspólnych dążeniach nie powinno pociągać za sobą zniwelowania i zatarcia wszelkich różnic w wewnętrznym życiu kulturalnym poszczególnych ziem i krajów polskich. Zarówno Kaszuba nadmorski jak Góral podtatrzanski powinni i nadal pozostać przedewszystkiem sobą. Do zachowania tych właściwości lokalnych, do uszanowania dawnych dobrych tradycyj przyczyniać się będzie „Ziemia” i nadal w miarę swych sił i możliwości.

Przystępując do kontynuowania — po pięcioletniej przerwie — rozpoczętego w r. 1914 piątego rocznika „Ziemi”, nie głosimy żadnych szumnych haseł ani zapowiedzi. Chcemy iść dalej drogą już wytkniętą, szerząc kult rzeczy ojczystych, ułatwiając zapoznanie się z własnym krajem szerokim kołom starszych i młodzieży.

Z powodu rozmaitych trudności, zarówno redakcyjnych, jak i wydawniczych, nie możemy odrazu postawić „Ziemi” na tej wysokości, na jakiej pragnęlibyśmy ją widzieć. Wywiązując się z zobowiązań względem dawnych naszych prenumeratorów, musimy przedewszystkiem ukończyć druk szeregu prac i artykułów, rozpoczętych jeszcze przed wojną. Ze względu zaś na ogromne dziś koszty wszelkich wydawnictw, nie chcąc obniżyć poziomu artystycznego „Ziemi”, musimy — narazie przynajmniej — rzadziej nieco wydawać pojedyncze zeszyty, których objętość znacznie za to powiększymy.

Są to zresztą — mamy nadzieję — trudności tylko początkowe. W miarę konsolidowania się z powrotem redakcji i pozyskiwania liczniejszych kół czytelników „Ziemia” wróci do typu tygodnika i ze wzmożonemi siłami szerzyć będzie znów w Polsce kult i znajomość kraju ojczystego.

REDAKCJA.





Kazimierz Kulwiec.

NA ZMARTWYCHWSTANIE.

Gdy pierwsze gromy nawałnicy światowej uderzyły w tej części Europy Środkowej, gdzie w śnie głębokiego letargu spoczywały członki rozewiartowanej Polski, w spazmie przeczuwanych wielkich wydarzeń dziejowych zamierać zaczęło tentno życiowe: tak, gdy ciemne zwały chmur, nadciągających z dwóch stron przeciw sobie, ponurym zmrokiem horyzont zasłaniają, a gwałtowne podmuchy wichru i przeraźliwe błyski elektryczne przy akompaniamencie padających piorunów spędzą strwożone ptaki do kryjówek, a nadwiedle liście i kielichy kwiatowe mechanizmem samoobrony zwierają się i szczerzenie zamykają, wtedy rozsądek i człowiekowi nakazuje przerwać swą pracę w polu i burzę przeczekać, chronić się przed ulewą i piorunem w swej chacie...

I kryje się wtedy lud roboczy po chatach, do dworku swego, ocienionego lipami, śpieszy dziedzić: nierozważny tylko i niemądry ukryje się pod drzewem wysokim, lub pod skałą niebosięzną, zapominając, że

„w najwyższe góry
bije piorun z chmury“...

a biada tym, którzy od chat swych i dworów wdał będą zagnani...

Nie jeden padnie piorunem rażony, nie jeden w pomroku nawałnej ciemności w lęku przesadnym swą drogę zatraci.

I zbraknie gospodarza, który drzwi i okna przed nawałnicą w chacie zawrze, zbraknie pasterza, który zaleknioną trzodę w oborze zabezpieczy i nakarmi, który dach wichrem zerwany na chacie naprawi...

To też lęk przed burzą, gdy w potężnych zjawiskach wyładowują się silne napięcia energii natury, jest tak powszechny i głęboki, że zapominamy często o dobroczynnej, niekiedy zbawiennej tych zjawisk stronie.

Wszak burze orzeźwiają i oczyszczają duszną atmosferę, zmywają kurz i brudy, zasilają glebę, podniecają sprawność życiową,

niszczą niedokładności dzieł ludzkich, przywracają równowagę w zachwianych potencjałach przyrody i... miast w niskie chaty, biją piorunem w wysokie więzienia, rozwalając ich ściany...

Taką straszną, niesłychaną burzę przeżyliśmy w ciągu ubiegłych lat pięciu.

Napięcie zróżnicowanych potencjałów politycznych w okresie przedwojennym było tak wielkie, atmosfera życia narodowego tak duszna, niedokładności dzieł „rozumu dyplomatycznego“ tak krzyczące, a byt narodów ujarzmionych i rozewiartowanych tak nikczemny — że rozmiary pięcioletnich zmagani wojennych nie dadzą się dziś jeszcze ściśle ani zmierzyć ani określić, a spowodowane przez [nawałnicę tę] dziejową zmiany w ustrojach politycznych i społecznych — umysłem objąć...

Dziś uważać można, że nawałnica wszechświatowa minęła... a to, co grzmi jeszcze na ziemiach polskich — to potężnych piorunów echa; wszak napięcie sił przeciwstawnych było dokoła Polski największe, jako dokoła łup spór zwaśnionych sąsiadów — najostrzejszy — to też przywracanie zachwianej równowagi, wygładzanie się zmarszczek zgniewanego Marsa — na ziemi naszej trwać musi najdłużej... Odbywa się tu przytem wielki, proces biologiczny — budzenie się organizmu poczytanego za zmarły: zrastają się członki rozewiartowanego państwa, które dźwiga się do życia... Organizm ten państwowy ma się nie tylko ocknąć z letargu, nie tylko dokonać skomplikowanego procesu wewnętrznego zespolenia okaleczonych składników, lecz i dźwignąć się z pod gruzów zwałonego piorunem dziejowym więzienia, skruszyć do reszty zerwane kajdany, uniezależnić się od powalonych tego więzienia budowniczych i stróżów...

Jak wstający z grobu ciemnego Łazarz mocuje się z niemocą własną, Naród dobywa z siebie energii, by stanąć o własnych siłach na nogi.



Nie wspomóż go w tem nikt z sąsiadów: owszem, każdy z nich potrąca i obalić próbuje... Z licznych ran, jeszcze krwawych, sączy się krew i ropa... a muchy zjadliwe cisną się doń skwapliwie, by czerwim go stoczyć i miazmatem trupim zakazić.

Nie rychło powraca przytomność, samopoczucie budzi się zwolna, a tłum lekarzy przybyłych z „sąsiedztwa“ cudowne swe leki mu wciska...

Jedne wzbudzić mają apetyt, inne krwawienie sztuczne podtrzymać, a tamte do snu „ożywczego“ nakłonić...

* *

Jak po nawałnej burzy, duszno jeszcze i parno dokoła; dokonane spustoszenie, namuliska i wyrwy nie zachęcają do podróży; zewsząd wyzierają przeszkody, niebezpieczeństwa oraz grozą przejmujący widok tych, co zginęli i do życia już nie wrócą...

A jednak burza minęła i krople, co spadają, już będą bodaj ostatnie; życie znów zbudzić się musi i w prawo swe wstąpić niezwłocznie; co więc żywe wyjść musi z kryjówek i rażno wziąć się do pracy — tej pracy, która jedynie tryumf przyniesie — dla prawdy, światła i szczęścia wspólnego...

* *

Pięć lat już minęło, gdy wypadki wojenne zmusiły nas do przerwania wydawnictwa Ziemi — pięć lat, które obaliły trzy wielkie potęgi Europy Środkowej i Wschodniej, swe stopy brutalne na naszej Ziemi Ojczystej wspierające.

Dziś wydawnictwo swe wznawiamy, uważając, że nie wolno nam z pracą dłużej zwlekać w oczekiwaniu na zupełne wypogodzenie się na naszym horyzoncie, na zupełny powrót do sił i zdrowia wskrzeszonego Łazarza.

Sądzimy, że dla pracy naszej, znajomość Ziemi Ojczystej mającej na celu, nastąpiła chwila nie tylko już odpowiednia, lecz i pilna. Znajomość ta, to samopoczucie, wiodące do samowiedzy narodowej.

Stan przejściowy od letargu do zupełnej sprawności życiowej, stan rekonwalescencji, wiodący do pełnego zdrowia, trwać jeszcze może długo; objawy niemocy i procesy zapalne, z gojeniem ran zadawnionych związane, ustępować będą stopniowo, powoli, a wierzymy mocno, że zasób sił własnych Narodu procesom tym pozwoli dokonać się pomyślnie i niezawodnie. Jak w każdej chorobie, którą ma zwalczać organizm, jest rzeczą pierwszorzędną — zachowanie przytomności i podtrzymywanie samopoczucia, tak i w obecnym stanie Zmartwychwstającej Polski pierwszorządne zadanie i obowiązki przypadają prasie narodowej, która ma w niej wzmacniać samopoczucie, podtrzymywać przytomność, gdyż tylko w stanie przytomności odróżnić zdołamy w otaczającym nas środowisku życzliwego lekarza od znachora, lekarstwo od trucizny, a w swym stanie wewnętrznym — zbawiennie objawy, wiodące do zdrowia i rozkwitu, od... apetytu fałszywego.

Dziś pierwszy głos w prasie słusznie należy do polityków. Myśmy w organie naszym od bezpośredniej polityki stali na uboczu, i w zasadzie pod tym względem stanowiska swego zmieniać nie widzimy powodu.

Jak dotąd, tak i nadal służyć zamierzamy polityce prawdy narodowej, za najwyższe sobie poczytując dobro — ogólny pożytek i uświadczenie narodowe, jakie płyną z krajoznawstwa ojczyzstego; jak dotąd gwiazdą przewodnią dla Ziemi była nadzieja na ziemi naszej zmartwychwstanie — tak odtąd nią będzie pragnienie we Wskrzeszonej rozszerzyć i pogłębić Samopoczucie, Samowiedzę i Samokrytykę.



Edward Maliszewski.

O POLSKIE NAZWY GEOGRAFICZNE.

Jedną z ważniejszych cech zewnętrznych każdego kraju, świadczących o przynależności narodowej danych obszarów, są nazwy miejscowości. Powstają one i ustalają się stopniowo, zgodnie z rozwojem historycznym ziem, krajów i państw. W całej Europie środkowej i zachodniej nazwy miejscowości ustalać się zaczęły prawdopodobnie po ukończeniu wielkiej wędrówki narodów. Plemiona osiadłe — w miarę odczuwania coraz bliższego związku z zamieszkałą przez nie ziemią — nadawały stopniowo nazwy swoim rzekom, jeziorom, górą i miejscowościom. Nawet w razie zupełnego wytepienia mieszkańców danych okolic przez zwycięskich sąsiadów obcego rodu i obcej mowy — nazwy miejscowości utrzymywały się te same. Są one też niekiedy najstarszymi pomnikami dziejowymi, świadczącymi o pierwszych osiadłych mieszkańcach danej ziemi.

Na znaczenie nazw geograficznych zwracał w swoim czasie uwagę w naszym piśmiennictwie naukowym znakomity geograf, Wincenty Pol. „Szczególniej na słowiańskiej ziemi — pisał on¹⁾ — są nazwy miejscowe kluczem do dziejów ziemi i dziejów ludu: albo —

oznaczając przyrodzoną własność rzeczy — stają się wskazówką dla ludzi w poznaniu ich ziemi, albo są żywymi pomnikami w historii narodu, które w jednym słowie przechowują podanie przeszłości“. Na podstawie studjów nad nazwami miejscowymi snuli później swe cenne badania dziejowe: Wojciechowski,²⁾ Kętrzyński³⁾ i wielu innych mniej

głośnych, lub mniej szczęśliwych w wyborze metody badawczej historyków. Szereg cennych studjów o nazwach geograficznych polskich ogłosił następnie Jan Karłowicz,⁴⁾ traktując przedmiot ze stanowiska raczej lingwistyczno-folklorystycznego. Z kolei niezapomnianej pamięci Zygmunt Gloger, wychodząc z założenia, iż w nazwach topograficznych „tkwią często prastare pojęcia ludu o charakterze miejscowości, użytkach osiągniętych, sposobie życia praojców i archaizmy językowe“, zbierać zaczął słownik wszystkich nazw miejscowych pol-



fol. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

Baszta główna Zamku w Łucku.

¹⁾ T. Wojciechowski: „Chrobacja“. Kraków 1873.

²⁾ W. Kętrzyński: „Nazwy miejscowe polskie Prus Zachodnich, Wschodnich i Pomorza wraz z przezwiskami niemieckimi“. Lwów 1879, i tegoż autora: „O ludności polskiej w Prusiech niegdyś krzyżackich“. Lwów 1882.

³⁾ Jan Karłowicz: „O imieniu Polski i Polaków“ Pamiętnik Fizjogr. I. 1881 i inne w nast. tomach tego wydawnictwa.

⁴⁾ W. Pol: „Północny-wschód Europy“. Lwów 1875, str. 100.



skich, nietylko miast i wsi, ale również pól, łąk, wzgórz, wawozów, borów, uroczysk, bagien, rzek, strumieni, i jezior, grodzisk, starych cmentarzysk i kurhanów. Zebrany jednak przez niego olbrzymi materiał w ilości 70 do 80 tysięcy kartek z nazwami ze wskazaniem źródeł i dat nie został, niestety, ogłoszony drukiem i, jak się zdaje, stracony zostanie dla nauki. Zamieszczony w jednym z pierwszych numerów *Ziemi* artykuł jego: „O potrzebie słownika imion własnych“¹⁾ wywołał wkrótce odzew uczonego lwowskiego, zmarłego już również Bol. Adama Baranowskiego²⁾ z wiadomością o poczynionych przezeń studjach przygotowawczych do słownika nazw geograficznych na Rusi Czerwonej. Zabrali wreszcie głos na ten temat w ostatnich czasach: prof. F. Bujak,³⁾ prof. J. Rozwadowski⁴⁾ i prof. Stan. Pawłowski.⁵⁾ Wszystkie te jednak teoretyczne rozważania, zarówno jak i nawoływania do realnych kroków nie wyszły poza okres przygotowawczy. Ta względnie bardzo młoda gałązka nauki geograficznej, zwana onomastyką, a w ostatnich czasach częściej toponymją — pozostaje u nas dotychczas przeważnie poza nawiasem zainteresowań nawet specjalistów-geografów.

Inaczej tymczasem działo się i dzieje w Europie. Cały szereg uczonych francuskich, angielskich i niemieckich opracowuje już tam oddawna zagadnienia toponymiczne. Cieszący się już światową sławą uczony szwajcarski, I. J. Egli, profesor geografii na uniwersytecie w Zurychu, w jednej z prac swoich, ogłoszonej w r. 1886,⁶⁾ rozpatrzył przeszło 1,600 dzieł lub krótszych rozpraw, poświęconych kwestji nazw geograficznych. W innej swojej, niemniej cennej pracy, zatytułowanej: „*Nomina geographica*“⁷⁾

1) Z. Gloger: „O potrzebie i t. d.“ *Ziemia*, 1910, n. 4.

2) Bol. Ad. Dobrowolski: „W sprawie słownika imion własnych“, tamże, n. 20.

3) F. Bujak: „O słowiańskich nazwach miejscowych“, tamże, 1914, n. 9 — 11.

4) J. Rozwadowski: „Nazwy geograficzne“, *Język Polski*, 1914.

5) St. Pawłowski: „W sprawie polskiej nomenklatury geograficznej“. Lwów, 1918.

6) I. J. Egli: „Geschichte der geographischen Namenkunde“. Lipsk, 1886.

7) I. J. Egli: „*Nomina geographica*“. Wyd. II. Lipsk, 1893.

ten sam autor podaje etymologję paru dziesiątków tysięcy nazw ziem, mórz, rzek, gór i t. p. na całej kuli ziemskiej. Rzecz zresztą charakterystyczna, iż w pracy tak nawskroś naukowej, jak najdalszej, zdawałoby się, od jakichkolwiek wpływów i oddziaływań politycznych, wyjaśnia autor jak najskwapliwiej pochodzenie i znaczenie najrozmaitszych nazw zarówno niemieckich i francuskich, jak arabskich, indyjskich, murzyńskich, a także nie zaniedbuje wzmianek o najmniejszych rosyjskich Wasilsurskach, — zupełnie jednak słabo i więcej, niż mało, pisze o nazwach polskich. Wisła ma pochodzić od wyrazu „isla“ — staropruskiej „rzeki“, Wołyń podany jest pod nazwą Wolgast (co ma znaczyć tyleż co i — Ochsenheim) i podciągnięty został pod to samo pochodzenie od wołu. Niema zaś wcale w tem olbrzymim dziele wyjaśnienia nazwy ani Warszawy, ani Warty, ani Kiele i Radomia.

To zresztą tylko mimochodem. Bo oto wypada przejść nareszcie do kwestji w tej dziedzinie najpilniejszej, wysuniętej przez wypadki dziejowe niemal na czoło naszych zagadnień geograficznych.

Ustalenie nazw geograficznych na ziemiach polskich jest sprawą jak najbardziej skomplikowaną i niezwykle trudną do rozstrzygnięcia. Z jednej bowiem strony Rzeczpospolita Polska w swym historycznym rozwoju wchłonęła w ramy wspólnej państwowości rozległe ziemie litewsko-ruskie, na których przeważnie istniały już swoiste nazwy miejscowości, pochodzące z odrębnych od polskiego pni językowych. Kultura polska uszanowała te dawne nazwy, tylko je w pewnych wypadkach dostosowała dźwiękowo do potrzeb języka naszego. W ostatnim jednak stuleciu władze zaborcze usiłowały zaanektować całkowicie te nazwy na rzecz rosyjskości, narzucając im brzmienie, niezgodne zupełnie z duchem białoruszczyzny i małoruszczyzny, a te swoje reformy toponymiczne utrwały na mapach i w wydawnictwach urzędowych. Przywrócenie dziś wszystkim miejscowościom na Litwie i Białorusi, zarówno jak i na Wołyniu, nazw pierwotnych stanowić już będzie trudność niemałą.

Niemniej zawiła jest kwestja nazw miejscowych w zachodnich dzielnicach Polski. Na całym obszarze od Gdańska i Słupska



aż po Raciborz i Cieszyn trwa od tysiąca lat ścieranie się dwóch żywiołów, nawskroś odrębnych nie tylko politycznie, ale i językowo. Te prastare ziemie polskie już w pierwszych wiekach naszej historii podlegały silniejszemu lub słabszemu wpływowi niemieckim. Niekiedy wpływy te przenikały drogą pokojową, najczęściej przez zakony, z narodowości swych członków niemieckie, które kolonizowały tu wsie, sprowadzając z daleka nieraz osadników, i nowym tym miejscowościom nadawały nazwy niemieckie. Działo się tak zwłaszcza w Wielkopolsce i na Śląsku. Bardzo na północ, na Pomorzu i nad całą dolną Wisłą niemieckie nazwy miejscowości narzucili w XIII i XIV wieku Krzyżacy, którzy, tępiąc bez litości dawnych mieszkańców tych ziem, po zaprowadzeniu swego panowania nadawali miastom i wsiom swoje nowe nomenklatury.

I w jednym i w drugim wypadku miejscowa ludność polska, nie mogąc pogodzić się z obcymi dźwiękami tych nazw, przystosowywała je do swoich właściwości językowych. Stąd pochodzą owe liczne Szynwałdy, Szenwizy, Kusefildy i tym podobne nazwy, dość często po dziś dzień spotykane na tych obszarach.

Drugi okres narzucania naszym zachodnim dzielnicom nazw niemieckich przyszedł po rozbiorach Rzeczypospolitej. Rząd pruski z większą jeszcze systematycznością prowadzić zaczął na tych ziemiach podjęte niegdyś przez Krzyżaków i osadników niemieckich dzieło zgermanizowania kraju zapomocą narzucenia mu niemieckich nazw miejscowości. Czynione w tym kierunku wysiłki władz pruskich są jeszcze żywe w pamięci ogółu. W ostatnim zwłaszcza ćwierćwieczu narzucanie nazw niemieckich odbywało się w sposób wręcz ryczałtowy. Niekiedy germanizację nazw przeprowadzały władze w drodze dekretów prezesów rejencji, w innych znów wypadkach — na mocy najwyższych rozkazów gabinetowych. W samej tylko rejencji poznańskiej zniemczono w r. 1904 na mocy dekretu prezesa rejencji 63 nazw miejscowych, w roku zaś następnym, na mocy najwyższego rozporządzenia z d. 22 grudnia, 97 polskich nazw miejscowych.

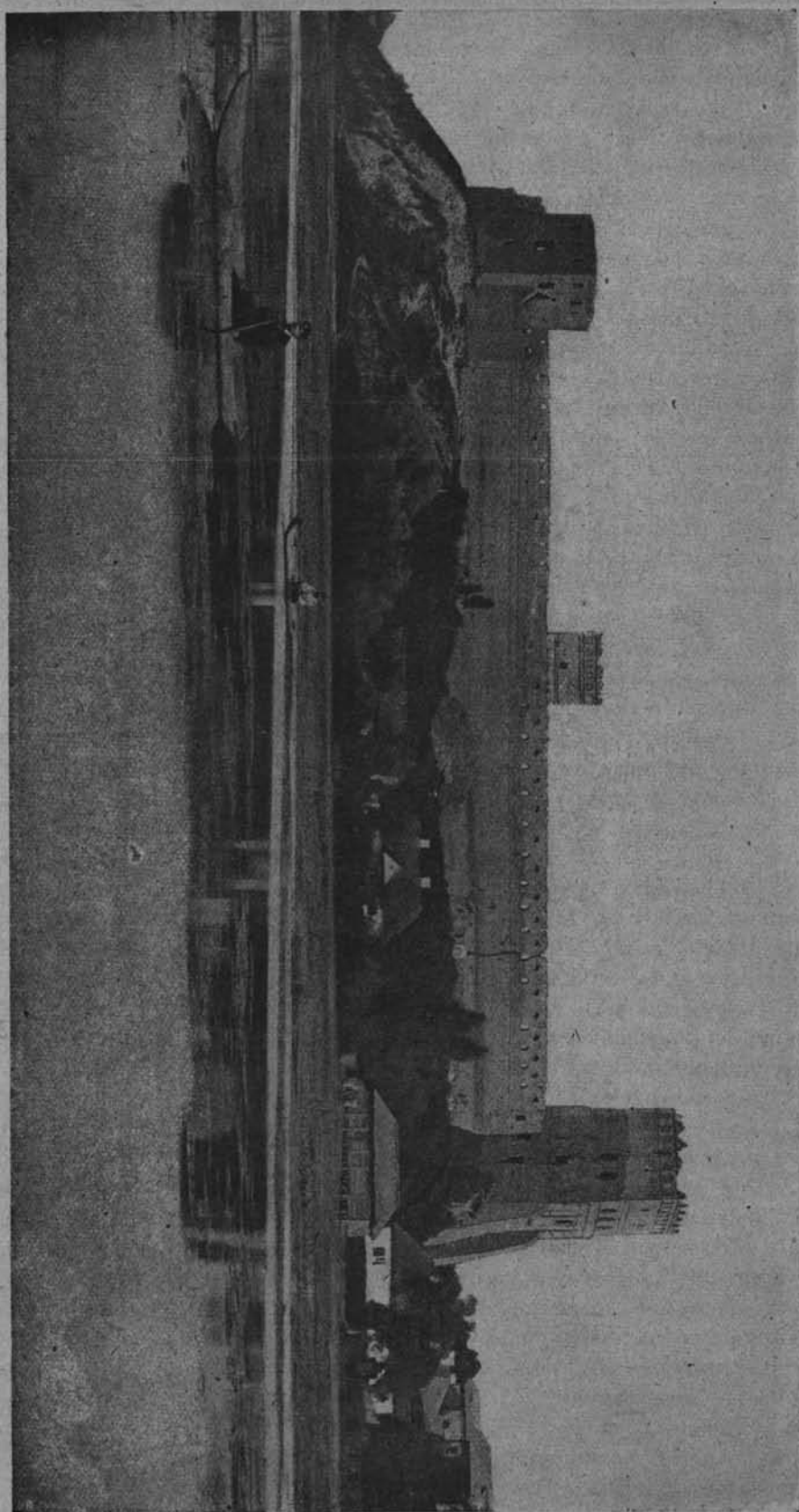
Ludność polska niechętnie i możliwie opornie zachowywała się wobec tych zmian,

starając się przynajmniej w życiu prywatnym przechować pamięć nazw polskich. Zdarzały się jednak i takie wypadki, jak np. w okolicach Gniewkowa, gdzie po narzuceniu temu miasteczku urzędowej nazwy Aargenau, chłopci okoliczni zaczęli nazywać je... Jargoniewem. I nie można się im nawet bardzo dziwić. Boć przecież nawet część publicystyki naszej, z natury rzeczy powołanej do strzeżenia wszelkich dóbr narodowych, w ciągu lata 1919 r., z okazji wiadomości o projektowanych w Paryżu naszych granicach zachodnich popełniała niezliczone i krzyczące wprost błędy toponymiczne, mieszając np. niemiecki Lauenburg (Lębork) z Lautenburgem (Lidzbarkiem), pisząc o powiatowym Szłochowie (Człuchowie) i t. p.

Wszystkim tym błędom i nieporozumieniom czas byłoby nareszcie położyć kres. Na wprowadzenie z powrotem w użycie powszechne prawidłowych nazw miejscowości musi być obecnie zwrócona uwaga najpilniejsza. Śladów przemocy niemieckiej i rosyjskiej i na tem polu pozbyć się należy w sposób jak najbardziej bezwzględny.

Z góry wprawdzie zaznaczyć wypada, iż materiał, jakim rozporządzać będziemy przy sporządzaniu wykazów nazw we właściwym brzmieniu, nie zawsze jest obfity, a niekiedy nawet okaże się bardziej, niż niedostatecznym. Cała dawna dzielnica pruska, w której nazwy miejscowe germanizowano zaciekle podczas dwóch, już na szczęście minionych, okresów historycznych, ma bądźco bądź dość obfitą literaturę polską i niemiecką, która ułatwić może całkowite niemal odtworzenie dawnej szaty toponymicznej tych dzielnic. Inaczej, z pewnych względów bodaj gorzej, jest z naszymi dzielnicami wschodnimi. Spróbujemy osobno omówić po kolei obie te kwestje.

Najdawniejsze brzmienie nazw miejscowości w całej zachodniej połaci naszego kraju ustalić można przeważnie — choć oczywiście niezawsze z całą ścisłością — na podstawie najstarszych aktów i dokumentów, ogłaszanych w specjalnych wielkopolskich, śląskich i innych kodeksach dyplomatycznych. Drugim zasadniczym źródłem informacyjnym przy ustalaniu nazw miejscowości musi być, rzecz prosta, współczesne ich



Remains of the castle in Lucca near Strym.



brzmienie w ustach miejscowego ludu polskiego. Ponadto wyzyskana tu być musi cała literatura, dotycząca danych okolic, zarówno historyczna, jak opisowa i kartograficzna.

Co się tyczy Wielkopolski, w tych zwłaszcza jej granicach, jakie ustalił kongres wiedeński pod mianem W. Ks. Poznańskiego, to mamy tu przede wszystkim obszernie i cenne dzieło ks. Stan. Kozierowskiego,¹⁾ oparte na wyzyskaniu obfitych źródeł lingwistycznych i historycznych. Z kolei brzmienia nazw, ustalone w pierwszej połowie XIX w., podaje opis Platera,²⁾ oraz mapa Kurnatowskiego.³⁾ Zmiany, jakie zaszły w tej dzielnicy skutkiem wejścia rządu pruskiego na drogę ostrej polityki germanizacyjnej, pierwszy rejestrować zaczął beziemiennie wydany w r. 1875 w Poznaniu „Wykaz miejscowości i t. d.”,⁴⁾ ostatnie zaś lata przyniosły nam wcale niezły, choć do celów wyłącznie praktycznych przeznaczony „Skorowidz” p. Słupskiego,⁵⁾ oraz niemiecką pracę Grabera i Ruppertsberga.⁶⁾ Wobec takiej obfitości źródeł i podręczników opracowanie właściwej nomenklatury geograficznej na terenie obecnego województwa poznańskiego nie powinno wywołać większych trudności.

Gorzej już nieco przedstawia się sprawa z obszarem obecnego województwa pomorskiego, dotychczas znanym pod nazwą Prus Królewskich lub Zachodnich. Tu nazwy, jak już zaznaczaliśmy to powyżej, germanizowane były dwukrotnie: raz za czasów krzyżackich, a ponownie w ostatnim stuleciu. Niektóre powiaty zniemczone tu zostały niemal doszczętnie. Władze zaborcze pruskie tępiły i usuwały stąd

inteligencję polską już od chwili przeprowadzenia pierwszego rozbioru kraju. Stąd łączność pomiędzy Pomorzem a innymi dzielnicami polskimi od półtora wieku słabła coraz bardziej. W zakresie toponymji to osłabienie żywych węzłów wspólności ujawniało się w piśmiennictwie polskim nieraz w sposób bardzo jaskrawy, jak o tem świadczą choćby przykłady, zebrane w swoim czasie przez d-ra Łęgowskiego.¹⁾

Kapitałną pracę w zakresie toponymji krajów, nad dolną Wisłą położonych, ogłosił w swoim czasie zasłużony badacz tych stron, Wojciech Kętrzyński²⁾. Książka jego na długo pozostanie dla dzielnicy pomorskiej pracą podstawową. Niemal cennego materiału zawiera również wspomniane już powyżej dzieło tegoż autora „O ludności polskiej w Prusiech niegdyś krzyżackich”. Z niemieckich prac wymienić należy książkę, opracowaną przez M. Bära i St. Walthera.³⁾ Świeżo wreszcie ukazał się polski zwięzły „Skorowidz” ks. Wojciechowskiego i d-ra Spandowskiego.

O Śląsku mamy polskie prace Mycielskiego⁴⁾ i Drzażdżyńskiego⁵⁾ oraz niemieckie: Nehringa,⁶⁾ Damrotha⁷⁾ i Weinholda.⁸⁾

Całość ziem polskich, a więc oczywiście i dzielnic, leżących w b. zaborze pruskim, objął w swoich 15-tu tomach popularny, znany powszechnie „Słownik Geograficzny”. Tutaj, jak wiadomo, zarejestrowane zostały możliwie wszystkie nazwy miejscowości, położone na obszarach polskich, zarówno etnograficznych, jak i historycznych. Piękne

¹⁾ Ks. Stan. Kozierowski: „Badania nazw topograficznych dzisiejszej archidiecezji gnieźnieńskiej”. Poznań, 1914.

²⁾ [Stan. hr. Plater] „Opisanie historyczno-statystyczne Wielkiego Księstwa Poznańskiego”. Lipsk, 1846.

³⁾ W. Kurnatowski: „Mapa W. Księstwa Poznańskiego”. Poznań, 1843.

⁴⁾ „Wykaz miejscowości, których nazwiska polskie do r. 1874 na niemieckie zamienione zostały”. Poznań, 1875.

⁵⁾ Zygmunt Światopełk-Słupski: „Skorowidz W. Ks. Poznańskiego”. Poznań, 1909.

⁶⁾ E. Graber i O. Ruppertsberg: „Verzeichnis der Ortsnamenaenderungen in der Provinz Posén”. Poznań, 1912.

¹⁾ [Dr. J. Łęgowski] dr. Nadmorski: „Nazwy geograficzne”. Wisła, 1888, t. II.

²⁾ W. Kętrzyński: „Nazwy miejscowe polskie Prus zachodnich, wschodnich i Pomorza wraz z przezwiskami niemieckimi”. Lwów, 1879.

³⁾ M. Bär i St. Walther: „Die Ortsnamenveränderungen in Westpreussen”. Gdańsk, 1912.

⁴⁾ Józef Mycielski: „Pierwotne słowiańskie nazwiska miejscowości na Śląsku pruskim”. Poznań, 1900.

⁵⁾ Stan. Drzażdżyński: „Słowiańskie nazwy miejscowości na Śląsku pruskim”. Wisła, X, XI i XIX, oraz *Lud*, XIX.

⁶⁾ W. Nehring: „Schlesische Ortsnamen auf-witz (-itz)”. Wrocław, 1885.

⁷⁾ K. Damroth: „Die älteren Ortsnamen Schlesiens”. Bytom, 1896.

⁸⁾ Weinhold: „Zur Entwicklungsgeschichte der Ortsnamen im deutschen Schlesien”. Wrocław.



i cenne to dzieło zbiorowej woli i zbiorowego wysiłku jest już od szeregu lat głównym źródłem informacyjnym przy rozstrzyganiu m. in. wszelkich wątpliwości toponymicznych. Ale już skutkiem swoich rozmiarów wydawnictwo to nie może pełnić funkcji źródła podręcznego. Ponadto — jak wiadomo — nie jest ono opracowane zupełnie równomiernie: wartość opracowań po-

miejsu w Warszawie z początku Sulimierski, potem Chlebowski. Wreszcie miejscowości wielkopolskie opisywał w pierwszych sześciu tomach M. Studniński, potem E. Callier, wreszcie W. Łebski. Przerwy, jakie powstawały między datą usunięcia się lub zgonu jednego współpracownika a rozpoczęciem pracy przez jego następcę, musiała wypełniać sama redakcja w Warszawie. To też

aczkolwiek naogół opracowanie naszych dzielnic zachodnich w „Słowniku“ jest wcale dobre, nie brak tam szczerb i luk nieraz bardzo dotkliwych. Nadto zaś „Słownik“ nie mógł oczywiście uwzględnić zmian w nazwach miejscowości, jakie zaszły w ostatnich lat dziesiątkach, po całkowitem zamknięciu cennego wydawnictwa.

W wyższym daleko stopniu te zastrzeżenia krytyczne w stosunku do „Słownika“ poczynić należy, skoro przejdziemy do omawiania kwestii nazw miejscowości we wschodnich połaciach Rzeczypospolitej. Z dziewięciu gubernij Litwy i Rusi, jak wiadomo, dwie tylko znalazły w wydawnictwie tem opracowanie dokładne i całkowite. Są to gubernje: mińska, opracowana przez Al. Jelskiego, oraz podolska, opisana przez d-ra E. Marjańskiego. Pozostałe gubernje, zawierające przecież około 70 tysięcy nazw miejscowości, otrzymały tylko dorywcze i przypadkowe opisy, z których wyróżnić należy jedynie cenne mono-

grafie wszystkich ważniejszych miejscowości w trzech powiatach Inflant Polskich, pióra Gust. Manteuffla, oraz obszerne i źródłowe opracowania historycznych miejscowości na Ukrainie przez Ed. Rulikowskiego.

Tę jaskrawą lukę w pomnikowym skądinąd wydawnictwie zapełniać zaczął dopiero od szóstego tomu „Słownika“ nowy jego współredaktor, Józef Krzywicki. Na podsta-



Mapka gub. mińskiej zaczerpnięta z „Przewodnika po gub. mińskiej“ p. Edw. Maliszewskiego, wydane go przez Straż Kresową, pozwala orientować się w obecnej sytuacji na naszym froncie, ciągnącym się niewiele więcej wzdłuż linii rzek Berezyny i Uborci.

szczególnych dzielnic, zamieszczanych w rozmaitych tomach, różni się nieraz dość znacznie. Te wahania spowodowane zostały głównie zmianą współpracowników. Najdokładniej i najstaranniej, choć głównie tylko w dziale historycznym i kościelnym, opracowane tu zostały dzielnice Prus Zachodnich i Wschodnich przez księży: Fankidejskiego i Frydrychowicza. Śląsk opracowywał na



wie głównie rosyjskich wydawnictw urzędowych zdołał on istotnie wymienić i opisać, od litery M poczynając, niemal wszystkie miejscowości w zaniedbanych dotąd guberniach. Dwie części „Suplementu“ objęły prawie wszystkie opuszczenia dawniejsze. Nie objęły jednak bynajmniej wszystkich. Co gorsza, kierownik olbrzymiego tego działu w „Słowniku“ nie był wprost w stanie odtworzyć należycie nazw wszystkich opisywanych przezeń miejscowości we właściwym brzmieniu lokalnym. Wystarczy przytoczyć parę tylko przykładów. Oto istnieje np. w pow. brzesko-litewskim czyli brześciańskim spora wieś, mająca nazwę Kruhel. Mapy i wydawnictwa rosyjskie piszą ją oczywiście: Krugiel. Autor bardzo zresztą pięknej i starannej mapy ziem polskich, wydanej na emigracji w Paryżu, W. Chrzanowski,¹⁾ usiłując odtworzyć właściwą nazwę miejscowości, podał ją, jako... Kregiel. — W „Słowniku“ figuruje ona, jako Krugiel i Kregiel, — natomiast właściwego brzmienia wcale tu nie podano. Inny przykład: w tym samym powiecie brzesko-litewskim leży w pobliżu Kamieńca litewskiego wieś Jelna, godna pamięci, jako miejsce urodzenia znanego pamiętnikarza, Marcina Matyszewicza. Chrzanowski w swym atlasie podaje ją jeszcze w brzmieniu właściwym, widocznie jednak później władze rosyjskie zmieniły jej nazwę na „Nikolskoje“, gdyż na wszystkich nowszych mapach sztabowych, a także i w „Słowniku“, figuruje już, jako... Nikolskie.

Jak wynika z uwag powyższych, nasz „Słownik Geograficzny“, choć jest niewątpliwie wydawnictwem bardzo cennym i wielce pożytecznym, nie może być bynajmniej uznane w obecnych naszych warunkach za źródło dostateczne i wyczerpujące. O przygotowaniu odpowiedniego nowego wydawnictwa, lub nawet szeregu większych i mniejszych wydawnictw, któreby rozstrzygały powstające na każdym kroku wątpliwości, winny już dziś pomyśleć powołane czynniki państwowe i naukowe.

O panującym u nas obecnie na tem po-

lu chaosie, o ciągłym przekręcaniu w prasie i piśmiennictwie prastarych nazw polskich i wprowadzaniu na to miejsce jakichś niemieckich lub rosyjskich dziwolągów niema nawet potrzeby rozpisywać się obszerniej, gdyż są to rzeczy znane już powszechnie. Dochodzi już do tego, że w słowie drukowanym zamiast używania nazw właściwych przerabia się bez wszelkiej ceremonii nazwy, narzucone nam przez obcych. Niedawno czytaliśmy w dziale ogłoszeń jednego z poczytnych dzienników o sprzedaży nieruchomości w „Plesznie“. Gdyby nie dodany na końcu adres niemiecki sprzedawcy, nigdybyśmy się nie domyślili, że to była mowa o... Pleszewie poznańskim, przezwanym po niemiecku „Pleschen“.

Nic nie lepiej stoi u nas w użyciu powszechnem sprawa nazw miejscowości, położonych za Bugiem i Niemnem. Niemal wszyscy, tak liczni w swoim czasie, autorowie opisów kampanji legjonów naszych na Wołyniu w latach 1915 i 1916 popełniali niezliczone mnóstwo błędów w nazwach geograficznych wsi i miasteczek nad Turją i Styrem położonych. Nawet w wydanej przez Warsz. Tow. Naukowe pięknej skądinąd pracy zmarłego przedwcześnie A. Fleszara: „Uwagi nad krajobrazem poleskim“ co druga z wymienionych tam miejscowości podana została w fałszywym, wielkorosyjskiem lub nawet niemieckiem brzmieniu, co oczywiście wywołane było przez posiłkowanie się mapami sztabowymi w tych językach bez próby jakiegokolwiek polskiej korektury. Zwracał na to przed rokiem uwagę sfer odpowiednich autor niniejszych uwag w notatce, zamieszczonej w piśmie specjalnem.¹⁾ Jednak podczas tegorocznej świetnej kampanji wojsk naszych na Białorusi i na Wołyniu komunikaty naszego sztabu generalnego wprost przepełnione były znowu błędami w nazwach miejscowości. Ileż to razy powtarzał się w nich Biten (zam. Byteń), Gorodno (zam. Horodno), Łogiczyn (zam. Łobiszyn), Gołynka (zam. Hołynka), Głubokoje (zam. Głębokie) i wreszcie to nieszczęsne „Równno“, wzięte z rosyjskiego „Rowno“, gdy w języku polskim od wieków to miasto

¹⁾ Karta dawnej Polski z przyległemi okolicami krajów sąsiednich według nowszych materiałów na 1:300.000. Paryż 1859.

¹⁾ „O nazwy miejscowości wołyńskich“. Bel-lona, lipiec 1918 r.



nazywa się Równe (2-gi przypadek Równego i 7-my — w Równem).

Przywrócenie właściwych, od wieków przez ludność miejscową używanych nazw na terenach, wchodzących w skład Rze-

czypospolitej Polskiej, jest oczywistą i pilną potrzebą. Niepodobna już tolerować dłużej tych bolesnych dla naszej dumy narodowej śladów rosyjskiego i niemieckiego jarzma.



Stanisław Łoza.

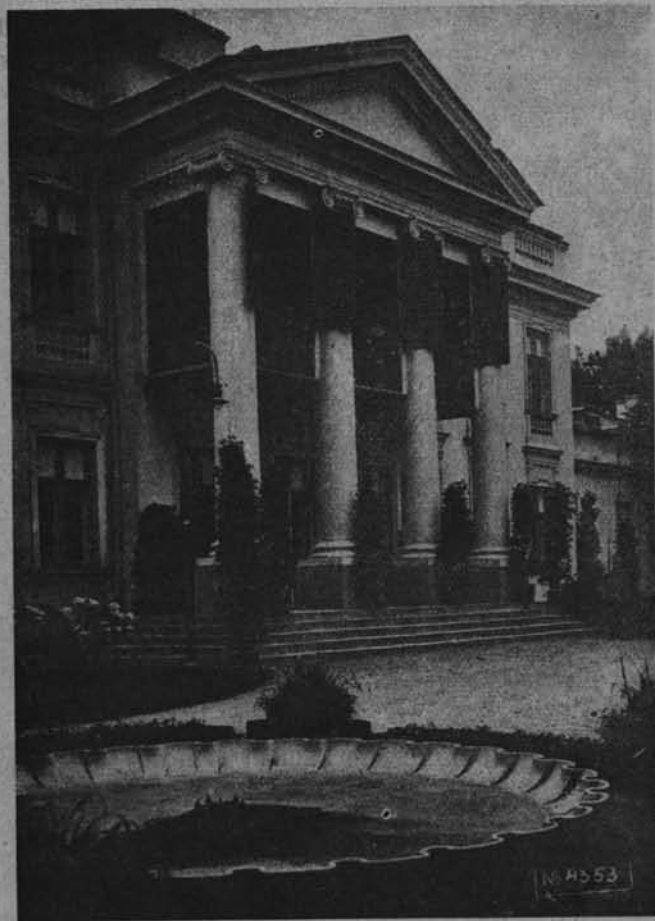
BELWEDER.

Obecna siedziba Naczelnika Państwa, ustronny pałacyk Belwederski, ma ciekawą przeszłość ze względu na zmiany, jakim miejscowość ta ulegała.

Grunta, na których znajduje się pałac, jaki dziś widzimy, zostały nadane zgromadzeniu OO. Augustjanów przez książąt mazowieckich. Po przyłączeniu Mazowsza do Polski (1526 r.), posiadłość tę nabyli królowie polscy, zaś król Władysław IV podarował ją kapelmistrzowi nadwornemu oraz katedry krakowskiej, Bartłomiejowi Pękielowi vel Pękelowi, który w roku 1650 sprzedał ją Krzysztofowi Pacowi, kanclerzowi wielkiemu litewskiemu († 1684 r.), który tu polecił wystawić dla siebie pałac, zwany Belvedere. W r. 1663 Pac przepisał posiadłość na żonę swą, Klarę Izabellę z domu de Mailly-Lascaris, rodem Francuskę, z którą potomków nie miał.

Posiadłość ta stopniowo różne przechodziła koleje. Tu w kwietniu r. 1677 zamieszkiwało poselstwo hołdownicze, wysłane przez księcia kurlandzkiego, Jakóba († 1 stycznia 1682 r.), do króla Jana III.

W skład poselstwa wchodzili: Edward Pfeilizer zwany Frank oraz pułkownik Otto à Sessvegen. Ponieważ ten ostatni, złożony niemocą, nie mógł brać udziału w hołdzie, król upoważnił Mikołaja Chwałkowskiego, pisarza prawa publicznego polskiego, rezydenta księcia kurlandzkiego przy dworze polskim, do zastąpienia chorego posła. Poselstwo



fol. ze zbiorów Pol. Tom. Krajozn.

Pałac Belwederski od strony parku.



fol. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

Pałac Belwederski od frontu.

to dnia 27 kwietnia złożyło hołd na Zamku warszawskim.

Zmieniając właścicieli, Belweder przeszedł do rodziny Lubomirskich, od których w dniu 25 sierpnia 1764 r. nabył go stolnik litewski, Stanisław August Poniatowski, niebawem obrany na króla polskiego. Król Stanisław August powziął myśl przebudowania pałacu belwederskiego, lecz opinia rzeczoznawców orzekła jednomyślnie, że przeróbka nie da się uskuteczyć, raczej należałoby pałac cały zwać, i nowy na tem miejscu ufundować. Wobec tego król odstąpił od pierwotnego planu. Jednakże architekci nadworni: Kamsetzer i Kubicki sporządzili projekty przebudowy pałacu.

Król, nie ustając w swych zabiegach, mających na celu podniesienie poziomu estetycznego kraju i narodu, około r. 1774 umieścił w Belwederze, w tem miejscu, gdzie obecnie znajdują się stajnie, fabrykę wyrobów fajansowych, która istniała do r. 1787. Pozostałością po dawnej fabryce jest mała czworokątna budowla, zwana młynkiem. Skład

fabryczny tej wytwórni mieścił się przy Krakowskim Przedmieściu pod № 382 w kamienicy Wasilewskiego, zburzonej około roku 1865 pod urządzenie skweru. Godzi się nadmienić, że wyroby tej fabryki należą do niezmiernie rzadkich i przez zbieraczy gorliwie poszukiwanych.

W miejscu, zajmowanem przez obecny dziedziniec pałacowy, stał drewniany kościółek pod wezwaniem św. Anny i św. Małgorzaty, będący kościołem parafji Jazdowskiej, przeniesionej w r. 1826 do kościoła św. Aleksandra, wzniesionego w latach 1818 — 1825 na placu Trzech Krzyży według planów budowniczego Piotra Aignera.

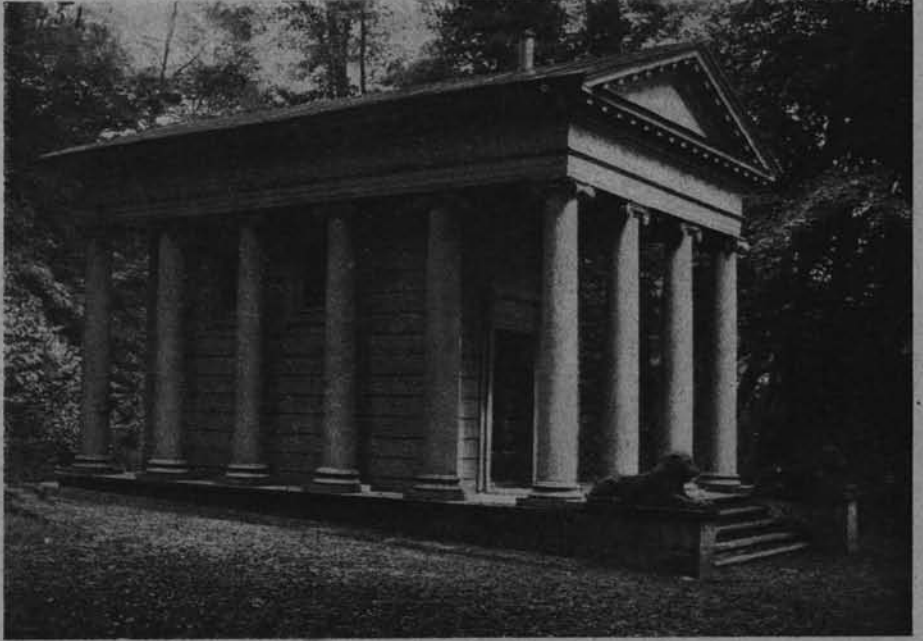
Po śmierci króla Stanisława Augusta posiadłość belwederska przeszła do starosty ryckiego, Onufrego Kickiego, od którego córki, Teresy, Rząd Królestwa w r. 1818 ją nabył i tu według planów budowniczego rządowego i intendenta budowli koronnych, Jakóba Kubickiego, został wzniesiony w latach 1818 — 1822 pałacyk.

Pałacyk ten, jak niemal wszystkie bu-



dowle, wzniesione w stolicy w owej epoce, ma cechy pseudo klasyczne. Środkowy korpus, piętrowy, zakończony balustradą, ozdobiony jest zarówno od podjazdu jak i od strony parku portykami, wspartymi na czterech kolumnach jońskiego porządku; skrzydła w podkowie są parterowe.

Pałacyk pod względem umeblowania nie posiada cenniejszych zabytków. Przeznaczony na rezydencję generał-gubernatorów warszawskich, przy każdej zmianie dygnitarzy częściowo zostawał ogalać z cenniejszych zabytków, tak, że obecnie niewiele z dawnego splendoru pozostało. Należy dodać, że w pałacu znajdował się cykl obrazów olejnych pędzla Łukaszewicza, przedstawiających typy wojska polskiego epoki 1815 —



fol. ze zb. Tow. Op. n. Zab.

„Świątynia“ drewniana w parku Belwederkim.

1830, wiernie odmalowane. Obrazy te podczas ewakuacji zostały przez Rosjan wywiezione. W podziemiach pałacu znajduje się kaplica, w której modliła się księżna Łowicka.

Park otaczający łączy się z parkiem Łazienkowskim, skąd widok na pałacyk, stojący na wzgórzu, jest nader malowniczy. W parku

stym, zgodnie z duchem czasu, wybudowano małe budowle w stylu egipskim i klasycznym, umieszczone zostały również statuy, przedstawiające cztery pory roku.

Pałac belwederki przeznaczono na siedzibę księcia Konstantego, ożenionego w roku 1822 z Joanną Grudzińską, która otrzymała tytuł księżnej Łowickiej.

Pamiętniki generała Klemensa Kołaczewskiego odmalowują nam tryb



fol. ze zb. Tow. Op. n. Zab.

Most Egipski i źródło w parku Belwederkim.



życia belwederskiego, który był nacechowany skromnością.

Do stałych bywalców zaliczali się: adjutant służbowy Paweł Aleksandrow, guwerner Jawickij, oraz hrabia Moriollès, emigrant francuski.

Z towarzystwa warszawskiego częstszymi gośćmi byli: minister Stanisław Grabowski, panie: Zamoyska, Sobołewska, Teresa Jabłonowska z Lubomirskich, Mokronowska, senator Iliński, generał Kuruta, rodem Grek, generał Gendre, generał Fenshave, Anglik z pochodzenia, zajmujący godność szefa służby szpiegowskiej, oraz generałowie Nesselrode i Dziaków (Djaków?). Ci dwaj ostatni z pomiędzy wojskowego otoczenia wielkiego księcia uchodzili za ludzi nieposzlakowanej uczciwości. Pierwszy z nich, żonaty z Polką panną Górską, był ojcem słynnej później pani Calergis, powtórnie zamężnej za Muchanowem.

Po upadku rewolucji listopadowej pałac Belwederski został przeznaczony, jak wyżej powiedziano, na rezydencję wielkorządców rosyjskich. Tu zmarł w 1900 r. Aleksander Ineretyński, jedyny satrapa, który zachowywał przynajmniej pozory liberalne w stosunku do społeczeństwa polskiego.

W czasach okupacji niemieckiej pałac był zamieszkiwany przez gen.-gubernatora Beselera.

Po ustąpieniu okupantów pałac Belwederski został przeznaczony na siedzibę Na-

czelnika Państwa i Wodza Naczelnego polskich sił zbrojnych, Józefa Piłsudskiego, i siłą rzeczy stał się środowiskiem życia politycznego odrodzonej Polski.

Tu, prócz niezliczonych konferencji odbywają się uroczyste przyjęcia dyplomatów, akredytowanych przy Naczelniku Państwa.

Dotychczas miały tu już miejsce następujące tego rodzaju uroczystości: Dnia 2 kwietnia przyjęcie posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego Rzeczypospolitej francuskiej Eugenjusza Pralona; 2 maja — posła Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Hugh Gibsona; 15 lipca — posła Wielkiej Brytanji, Sir Percy Wyndham'a; 19 lipca — nuncjusza Stolicy Apostolskiej, Monsignora Achillesa Ratti; 28 lipca — posła króla Belgów Maxa van Ypersele de Strihou i wreszcie 13 sierpnia posła rumuńskiego, Aleksandra G. Floresco.

Oto pokrótce opowiedziane dzieje tej rezydencji, która w dziejach Polski odegrała i odgrywa niepoślednią rolę.

Z R Ó D Ł A.

Al. Wejnert: *Starożytności Warszawy*, IV, str. 282 i nast.

F. M. Sobieszczański: *Hist. Stat. Opis Miasta Warszawy*.

Gen. Kl. Kołaczkowski: *Wspomnienia*, księga III od roku 1820 do 1830.

Wł. Tatarkiewicz: *Rządy artystyczne Stanisława Augusta*.



Bolesław Ślaski.

SPŁAW I SPŁAWNICY NA WIŚLE.¹⁾

III. Rzut oka na czasy nowsze.

Pomimo rozczłonkowania państwa polskiego i powstania na jego terytorjum kordonów graniczno-celnych, tudzież upadku Gdańska, jako rynku ogólnoeuropejskiego, związek dawnej „macierzy” z jej emporjum handlowym, podtrzymywany przez odwieczny gościniec wodny, trwał jeszcze długo. Do-

piero w ostatniej ćwierci ubiegłego stulecia stosunki te dla rozmaitych przyczyn stały się nikłe, ostatnio zaś ustały niemal zupełnie...

¹⁾ Praca niniejsza, której druk rozpoczęła Ziemia latem 1914 r., przed samym wybuchem wojny, wydana już została osobno przez Autora w r. 1916. Ze względu na dawniejszych prenumeratorów podajemy jednak jej dokończenie z drobnymi tylko opuszczeniami.

(Przyp. Red.).

3)

(Dok.)



Nie posiadając materiału statystycznego, dotyczącego ruchu statków, spławianych pomiędzy Królestwem a Gdańskiem w nowszym okresie, t. j. od początku XIX-ego stulecia, nie mogę, niestety, przytoczyć tu jakichkolwiek danych porównawczych. Poprzestaję więc na pobieżnym odmalowaniu spławnictwa wiślanego w tym okresie czasu pod względem technicznym oraz obyczajowym, nadmienając, iż obraz ten wysnuty jest z własnych moich długotrwałych studiów.

XIX-e stulecie zaznaczyło się gwałtowną zmianą w technice spławniczej na Wiśle: zmiana ta objęła zarówno rodzaje statków wodnych, jak sposób ich oporządzania i obsługi. Znikają więc przedewszystkiem „szkuty“ i „dubasy“ z ich nader liczną załogą, te statki szlacheckie, wspominane często na kartach Klonowiczowskiego „Flisa“, ustępują miejsca żaglowcom doskonalszej budowy, mianowicie „berlinkom“ i „odrakom“ (z niem. Oderkahn). Znikają następnie bezmasztowe „komiegi“ i „byki“, — „łyżwy“, „jadwigi“ i „promy“ tracą znaczenie statków spławnych, będąc używanymi do celów specjalnych, — coraz rzadszymi stają się „galary“, które, przybrawszy odmienny a bardziej pierwotny w porównaniu z Lohrmann'owskimi wygląd, przetrwały mimo to pod mianem „Krakowskich“ i „Ulanowskich“ najdłużej; jeszcze za Królestwa Kongresowego wożono w najlepsze na galarach zboże do Gdańska z odległego Wołynia, ale dziś ani ujrzy ich na Wiśle, chyba powyżej Zawichosta. Zjawiają się natomiast, prócz berlinek, inne rodzaje statków masztowych: „barki“, przypominające swą postacią berlinki, tylko że niekryte i nie mające tych udogodnień, tudzież „krypy“ — statki, zbliżone swym kształtem do wydłużonego czworonogu, ale przedstawiające najrozmaitsze stopnie pod względem budowy i wykończenia. A obok tych głównych rodzajów powstają odmiany, a więc: spośród „barek“ wyróżniają się jeszcze „bajdaki“ czyli „kuranty“,¹⁾ większe berlinki zyskują miano „wiślanek“ a mniejsze „kanałówek“, całkiem małe berlinki, które zastą-

piły dawne „półszkutki“, przybierają nazwę „półberlinków“ albo „kajlaków“, ukazują się podobne do barek „cylle“, małe krypy lub początkowo galary, zwane „patelki“, i t. p. Tę różnolitą rzeszę „sudnów“ czy „korabi“ powiększają jeszcze drobne statki, a właściwie łodzie-żaglówki, które mogą podejmować jedynie małe i niedalekie przewózki; tu należą: wspomniane wyżej „kozy“, dalej „baty“, „koguciki“ i inne. Uległa zmianie budowa nawet małych podjazdek czyli członów, prowadzonych przy większych statkach: dawniej były to rzeczywiste „czółna“, z jednego pnia drzewnego wyrabiane (takie właśnie widzimy na rysunkach Lohrmanna), a nie, jak dziś, zwyczajne „krypki“, z tarcie zbijane, czy „berliniarki“ szyprów, czy też „czajki“ albo „ulanówki“ orylów. Wobec braku i drożyzny stosownego drzewa czółna t. zw. „dłubane“, już prawie całkiem nie wyrabiane, stają się na Wiśle coraz rzadszem zjawiskiem, przechodząc z wolna do historii. Nie są dziś jednolitemi i łupinki, na których pomykają retmani czyli „prowadnicy“ statków i tratów, „po dole“ płynących: maciupkie te łódeczki, w których nie można siedzieć, tylko trzeba albo stać, albo też kłęczeć, zbijane są zazwyczaj z trzech desek, a zwane pospolicie „retmankami“ lub „retmianiakami“, również „krakówkami“, albo ogólnie „korytkami“. W końcu wspomnieć wypada, iż w drugiej połowie ubiegłego wieku pojawiają się na Wiśle statki parowe, osobowe i pociągowe (holownicze), jakoteż „gabary“, którym nasi żeglarze nadają jeszcze miano „żelazniaków“. Z ukazaniem się tych twórców nowoczesnego przemysłu, wyróżniających się geometryczną proporcją form, znika cała poezja pławby, kiedy to statki suną po falach z malowniczo wydetemami płóciennymi rozpo-

Gdy porównamy dawne szkuty, jak je nam odtwarza Lohrmann, z dzisiejszemi berlinkami, musimy uznać wielki postęp w budowie i urządzeniu naszych statków wodnych. Oto niektóre zalety obecnych żaglowców wiślanych: 1) będąc zbliżone zupełnie swym

¹⁾ Nazwę tę napotkać można w dawniejszych aktach i pismach urzędowych, dzisiejsi jednak pławczaje jej nie używają. Znana jest natomiast, przynajmniej niektórym z nich, nazwa „kurak“, przerbiona z niemieckiej „Kurkahn“, na oznaczenie bar-

dzo oryginalnych statków morskich, używanych w zatoce Kurowskiej, które chodzą i po dolnej Wiśle, np. pod Gdańskiem; statki te należą wszystkie bez wyjątku do Niemców.



wu wiślanego, przechodzę tedy do charakterystyki naszych żeglarzy rzecznych.

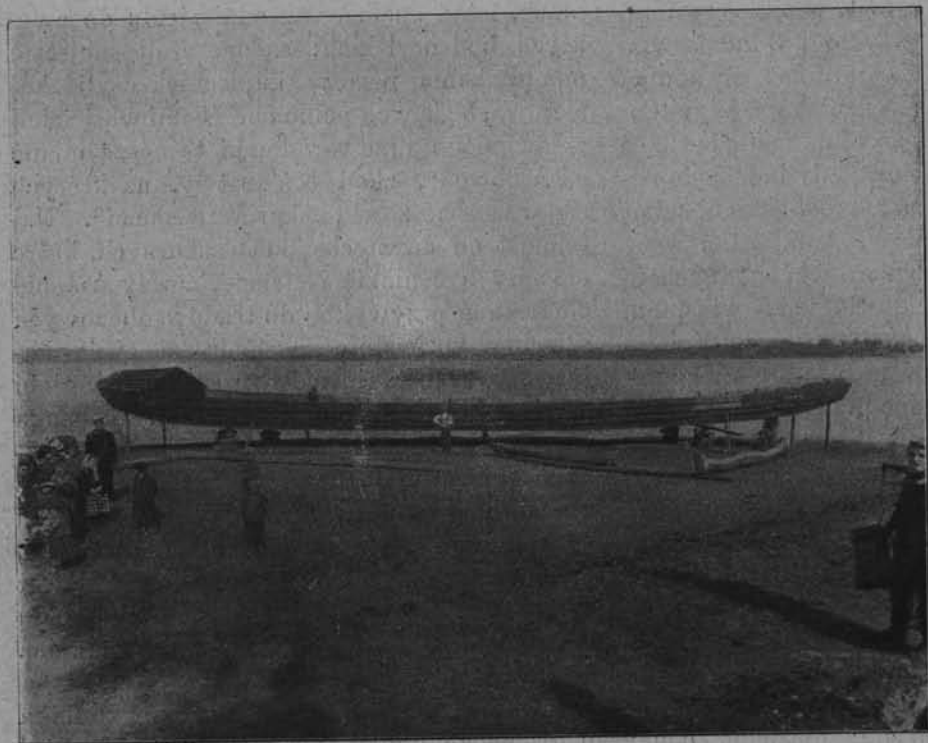
Ze słów Klonowicza we „Flisie“ wynika, iż dawniejsi pławacze wiślani tworzyli rodzaj bractwa, t. j. jakby zamkniętą organizację z osobnymi „ustawami“ i „przywilejami“, że mieli swe odrębne wyrażenia na oznaczenie nawet takich przedmiotów, które nie były związane bezpośrednio z ich zawodem, że uważali za swą patronkę św. Barbarę, że wreszcie nosili odrębny strój parady. Wszystko to z biegiem czasu uległo znacznym zmianom. Już z tekstu Lohrmannowskiego widzieliśmy, iż załogę statków szlacheckich stanowili przeważnie ludzie niewolni, którzy nie mogli, rzecz prosta, tworzyć jakichkolwiek organizacji. Dalsze zaś przewroty w stosunkach politycznych i ekonomicznych kraju, zmiany w technice spławu, coraz radsze wyprawy gromadne do Gdańska i tym podobne okoliczności spowodowały zupełny niemal zanik dawnych tradycji i obyczajów flisowskich.

Najdłużej trzymały się one wśród najbardziej „zacofanej“ i materialnie upośledzonej braci wodnej, mianowicie nadrzecznego ludu wiejskiego, który jeszcze przed 50 — 40

laty „chodził“ na statkach (przeważnie galarach i dubasach) oraz tratwach do samego Gdańska. O tym właśnie ludzie znajdujemy pewne szczegóły w pismach K. Wł. Wójcickiego i W. Pola, tudzież Kolberga; wspomina o nim również, przy opisie Gdańska, autor „Szkiców z ziemi i historii Prus Królewskich“. Częste niebezpieczeństwa, jakie groziły owym flisom na wodzie, rozwijały w nich silne uczucia religijne, objawiające się głównie w czci ku św. Barbarze; to też nie omijali oni żadnej kapliczki nadbrzeżnej, wzniesionej pod wezwaniem tej patronki, lecz wstępowali tam, „prosząc“ jak mówi Pol, „o śmierć szczęśliwą i dzwoniąc w dzwonek św. Warwarki“. Dodać wypada, iż kulf tej patronki żeglarzy przyszedł do nas z Pomorza i sięga bardzo odległych czasów, albowiem już Klonowicz, wzmiankując o Sartawicach nad Wisłą w pobliżu Świecia, mówi we „Flisie“:

„Tam Sarkawice, gdzie więc on wiek stary
Ofiarował się do Świętej Barbary,
Tam wstępowali nasi pradziadowie,
Dawni szyprowie“.

Rzeźbionym wizerunkiem owej patronki czyli „barbarką“ zdobiono nawet ongi, jak zaznacza Kolberg, przody strug wiślanych. Ale obok podobnych objawów religijności chrześcijańskiej istniały u pomienionych flisów jednocześnie pewne praktyki zabobonne, stanowiące niewątpliwie przeżytek epoki pogańskiej. Wójcicki zaznacza np., iż gdy na rzece zalegała niepożądana dla nich cisza, puszczała ona na wodę płachtę, uprzednio w smole zmaczaną, którą zapalali; poczem przygrywając na fujarkach i skrzypicach, wzywali Pochwistę, t. j. bożka



Flis, ze zbiorów Pol. Ton. Krajozn.

Budowa berlinki.



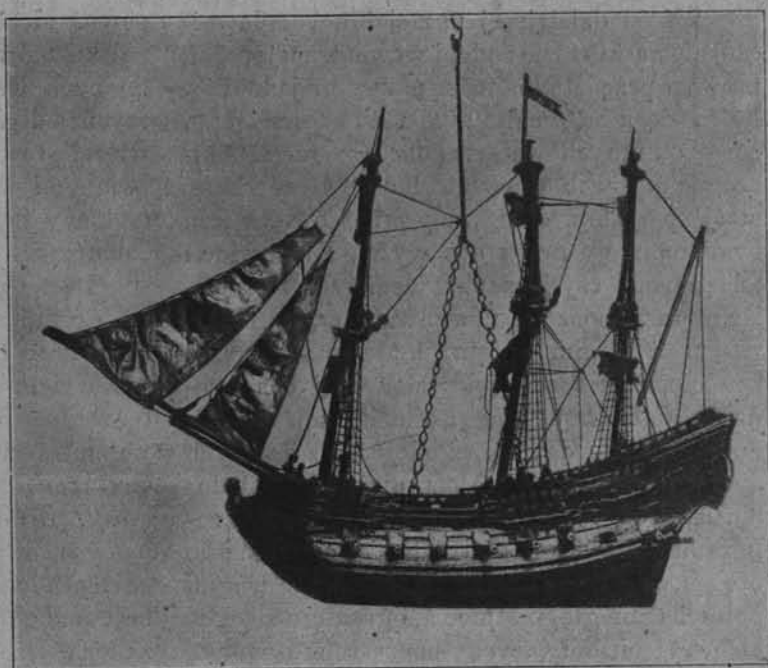
wiatru, aby dmuchnął w żagle albo też żywiej poruszył fale Wisły. „Doświadczeni siwizną przyprószeni flisy” — dodaje Wójcicki — „mieli dawniej pewne formuły, które w tajemnicy wielkiej zachowywali, do zakłęcia wiatru, aby powiał¹⁾...”

Całą osłodę twardego, pełnego niewczasów życia owych spławników stanowiły gra i śpiew. Z gęsto sunących wówczas Wisłą statków i tratw rozlegały się pobożne lub światowe piosenki, a śpiewał je zarówno lud z nad górnej Wisły i Sanu, jak z nad Narwi lub Bugu. A więc pieśń polska, dzięki temu ludowi, obijała się niemal o mury niemieckiego Gdańska! Nie brakło też wśród niego „artyistów” od fujarek i skrzypek. I w powrotnej drodze z Gdańska, gdy, obciążeni „gościńcami”, dążyli ci flisacy pieszo do rodzinnych wiosek znajomymi sobie dobrze szlakami, śpiewali chórem pieśni, którym stale towarzyszyły dźwięki ladajakich skrzypiec. Do nich właśnie stosują się te oto niewyszukane rymy:

Mijaj, flisie, grody, kościoły i dworki...
Bo na bursztynowe czekają paciorki!
Mijaj, flisie, Wisłę, bo ona nie wróci...
A tam po orylach cała wieś się smuci! —
Przeorałeś, flisie, Wisłę aż do Gdańska, —
To teraz przygrywaj na skrzypczkach zpań-
Za pierścionki złote i zamorskie spinki [ska!
Przytulisz tam głowę do ciepłej pierzynki!

„Tak grając i śpiewając”, — dodaje Pol²⁾ — „wracają flisacy i oryle od morza...”

Nie tylko więc na górnej oraz środkowej, ale również na dolnej Wiśle rozbrzmiewał ongi donośnie pokrzyk i wesół pogwar naszej rzeszy flisowskiej. Dziś zaś o fale niżu Wisły rzadko obijają się dźwięki polskie: wychodzą one jakby tłumione jeno z ust szyprów, którzy



fol. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

Okręt w stępl domu Fukiera w Warszawie.

blisko Nogatu, np. pod Piekłem lub Białogorą, porozumiewają się naszą gwarą z ludem nadbrzeżnym, boć tam jeszcze „Malborska”, ale już poniżej Tczewa i przedmieścia Tczewskiego Czyżykowa znajdują się w otoczeniu nawskroś obcem... A ci szyprowie, co „po polsku mogą”, jeśli są z dawnych „ziem pruskich” rodem, z zewnętrznego swego wyglądu, ruchów oraz flegmatycznego usposobienia przypominają częstokroć raczej teutonów, aniżeli słowian, — taki potężny wpływ wywiera wzajemne pożycie dwóch całkiem niepodobnych do siebie plemion!

Nie przypominam sobie, aby ten lud wodny Pola był przedmiotem studjów dla któregośkolwiek z naszych malarzy. Upodobał go sobie natomiast Niemiec o polskim nazwisku Stryjowski (Stryowski), obecny kustosz muzeum miejskiego w Gdańsku, gdzie też znajdują się jego malowidła; miał on możność obserwowania naszych flisów tuż pod Gdańskiem na t. zw. „Przerabce” czyli „Przeróbce”, miejscu nad brzegiem Leniwiki w pobliżu Siennicy (Heubude), gdzie „przerabiano” zboże z Polski spławione, i gdzie się gromadził polski lud wodny. Na „Przeróbce” panował język i obyczaj polski: to też w wigilję św. Jana palono tam uroczyscie „sobótki”, jak mi opowiadał pewien stary szyper z Torunia...

¹⁾ Ob. Kalendarz Ungra na r. 1865, art. „Flis” str. 107.

²⁾ Ob. Dzieła, t. IV, str. 455 — Lwów 1875.



Wśród dzisiejszej naszej braci spławniczej niemasz prawie żadnej wewnętrznej spójni; bracia ta przedstawia masę nader niejedolitą, która się albo wcale, albo też bardzo mało różni od innych warstw polskiego rzemieślniczego czy robotniczego ludu. Oczywiście, strój specjalny, opisywany przez Klonowicza i wspominany przez nas wyżej, mianowicie: „magierka“ czyli czapka węgierska, wysoka i z fantazją noszona („zuchwała“), „kierieża“, pasem szerokim spięta, białe marynarskie spodnie, a wreszcie „przysiek“, t. j. coś w rodzaju góralskiej ciupagi, musiał zejść z widowni bardzo dawno. Podobnie z dawnych obyczajów nie pozostało prawie ani śladu: np. cały obrzęd t. zw. „frycowania“, t. j. zaliczania do korporacji flisaka-nowicjusza, obrzęd, ściśle przestrzegany jeszcze w drugiej połowie ubiegłego stulecia, ogranicza się dziś do przyjęcia od „fryca“ poczęstunku wódką ze strony starszych orylów w jednym z miast nadbrzeżnych. Co zaś jedynie zachowało się z przeszłości, to kult św. Barbary, przynajmniej w pewnej mierze, oraz wyrażenia techniczne i ogólne, dawnym flisnikom właściwe, jakkolwiek czas musiał tu uczynić swoje: sporo mianowicie nazw poszło w zapomnienie, bądź dlatego, iż służyły na oznaczenie przedmiotów dziś już na Wiśle nie napotykanych (*bédziel*—młyn pływak, *komiega* i t. p.), bądź dla innych przyczyn (*ciotuchna*—wrona, *starosta*—starszy flisak, *tratować* do lądu—zawijać i t. p.).

Najinteligentniejszą i zarazem najzasobniejszą kategorię naszych pławaczy wiślanych stanowią „szyprowie“, t. j. właściciele większych statków żaglowych doskonalszej budowy, a więc przeważnie berlinek, po części zaś barek; przebywają oni stale z rodzinami na swych statkach, mając tam dość szczupłe wprawdzie, ale niekiedy nader miłe mieszkanie. Szyprowie ci pochodzą przeważnie z Prus Królewskich, głównie z Torunia i Grudziądza, a niekiedy z Chełmna i Gdańska. Mniejszym już wyrobieniem zawodowym, mniejszą gładkością w obejściu i mniejszą zamożnością odznaczają się „szyprowie“ z Kongresówki, przeważnie pochodzący z Płocka i Włocławka, a niekiedy z Nowego Dworu i Nieszawy; wśród szyprów z barek napotykamy znowu głównie „czerwińszczaków“. Dodam nawiasem, iż nasi szyprowie żywią

pewną niechęć do rzekomych „prusaków“, po polsku mówiących, uważając ich za niewygodnych współzawodników, a siebie za lepszych od nich Polaków. Taki sam mniej więcej stosunek panuje między orylami trawianymi względem galicjan, których zowią niekiedy już nie „galicjakami“, ale wprost „austriakami“.

Będąc nad brzegiem Wisły w Warszawie i odczytując na zewnętrznej stronie ustawionych przy lądzie żaglowców nazwiska ich właścicieli, brzmiące całkiem z niemiecka albo też zeszepecone pisownią niemiecką, gotowimy wysnuwać ztąd wnioski w duchu niezbyt przychylnym dla ruchliwości naszych „wodniaków“. Z miłą jednak zdziwieniem przekonamy się, iż żaden z owych szyprów, a więc ani „Schlatkowski“, ani „Golumbeck“, ani „Mielke“, ani „Scholla“, do „cudzaków“ się nie zalicza, i że niektórym z nich wskutek częstszego przebywania na wodach pruskich wprawdzie „śladniej“ mówić po niemiecku (wyrażenie autentyczne!), ale że z uczuć i tradycji i ci nawet są szczerymi Polakami. Odpowiednie „ustępy“ z Klonowiczowskiego „Flisa“, odczytywane przezemnie w gronie tych właśnie szyprów, budziły wśród nich najlepsze zrozumienie i czyniły na nich najsilniejsze wrażenie.

Tylko ta kategoria spławników odwiedza dziś Gdańsk, dopływając Leniwką pod sam Bałtyk do Latarni, a właściwie zatrzymując się ze swymi statkami w Nowym-Porte przy t. zw. „Westerce“ (Westerplatte), gdzie zabierają towar z okrętów morskich i prowadzą go w górę rzeki. Wśród szyprów, z Prus pochodzących, jest sporo wysłużonych żołnierzy marynarki: jeden z nich pokazywał mi książkę żeglarską z własnoręczną dedykacją swego byłego przełożonego, oficera na torpedowcu, wyrażając zarazem żal, iż to „nie w naszym języku pisane“. Książki żeglarskie niemieckie widywałem u wielu z pomienionych szyprów, gdyż w Prusach muszą oni zdawać specjalny egzamin z umiejętności prowadzenia statku, poczem otrzymują stosowne świadectwa (w miastach nadrzecznych z ożywionym spławem, np. w Toruniu, istnieją t. zw. „Schifferschulen“, t. j. praktyczne szkoły czyli kursy żeglarskie).

Ale owi korabnicy z polskich Prus rodem znają nie tylko wody Wisły: dopływają oni



na swych skutkach również do Elbląga lub Królewca, nie obce im są jeziora Mazurskie oraz liczne kanały spławne pruskie, którymi mogą dotrzeć i docierają niekiedy do Berlina, nie płacąc w ten sposób ani za przewóz ani za gospodę...

Po „szyprach“ należy się wzmianka „bosmanom“ czyli czeladzi statkowej: są to poważnie ludzie młodzi, którzy drogą kilkoletniej praktyki żeglarskiej, zakończonej, jak w Prusach, stosownym egzaminem, nabyli potrzebnych wiadomości do obsługi statku. „Starszy bosman“ czyli „sternik“ prowadzi w zastępstwie szypra statek żaglowy samodzielnie. Bosmani, będący częstokroć krewnymi szypra, mają pomieszknięcie w „plicie“ (izdebce, znajdującej się w przodzie statku), gdzie wraz z nimi lokują „roczniaków“ (chłopców na nauce, terminatorów), używanych na statku do różnych czynności pomocniczych (nazwa poszła ztąd, iż godzi się zwykle na rok). Bosmani i roczniacy są na wikcie szyprów.

Równe bodaj „szyprom“ w hierarchji zawodowej stanowisko zajmują „retmani“ statkowi, którzy płyną na małych czółenkach („krakówkach“) przed żaglowcami, ukazując im bezpieczną drogę, tudzież sternicy czyli patronowie parowcowi, korzystający z szumnego tytułu „kapitanów“; „bosmańskiemu“ zaś stopniowi odpowiada tytuł „majtka“, jaki przybierają flisowie na parowcach osobowych i pociagowych. Pozostają jeszcze właściciele małych a „chodnych“ statków („kóz“ i „batów“), których już do szyprów nikt nie zalicza. Ci nie mogliby wyżyć jedynie ze spławu towarów, powierzanych im dość rzadko; zmuszeni są przeto mieć się rozmaitego zarobku, jaki im może dać rzeka, a więc: rybaczyć, dobywać kamienie lub piasek z łona rzeki i t. p. Nie mieszkają oni na statkach, lecz na lądzie, gdyż nie przedsiębiorą nawet odleglejszych wypraw wodnych, a do pomocy przy pławacze używają zwyczajnych wyrobników, z wodą i pracą na statkach trochę obytych.

Taka jest w ogólnych zarysach klasyfikacja żeglarzy wiślanych, noszących swojskie miano „ludzi wodnych“ albo krócej „wodniaków“. Z kolei należy wspomnieć o „oryłach“ z kryp polskich i tratew, zwanych niekiedy lekceważąco „chłopami“, którzy tworzą najniższą kategorię, prawdziwy gmin spławni-

ków. Lecz i wśród tych oryłów, którym nasz ogół wykształcony *jedynie* nadaje miano flisów lub flisaków, są oczywiście rozmaite stopnie. Niezbyt różnolita jest załoga kryp polskich, krążących w górnej części Wisły między Warszawą a Sandomierzem: obok zwyczajnych oryłów czyli parobków statkowych mamy tu tylko „sterników“ i „retmanów“, lepiej nieco od nich płatnych i „wody świadomych“. Mają oni mniej przykre warunki zdrowotne, aniżeli oryle z tratew, gdyż nie stąpają ustawicznie po wilgoci i sypiają w „budzie“ drewnianej, ciasnej, dusznej i ciemnej, ale stanowiącej zawsze jaką taką uchronę. Buda ta, prawdziwa „przykleć“ z drzwionkami, znajduje się w „rufie“ statku, której postać konstrukcyjna przypomina tył galerii Lohrmann'a. Nie spływając niżej Warszawy, oryle z kryp czyli „krypiarze“ odbywają swe „ryzy“ w krótkim stosunkowo czasie, dość tedy często mogą zaglądać do domowego ogniska. Zdarzało mi się napotykać wśród nich nader sympatyczne postacie ludowe z Lubelskiego.

Pomiędzy orylami tratwianymi czyli „tratwiarzami“ znajdziemy więcej stopni. Są tutaj mianowicie: retman (inaczej „spławniczy“ albo „majster“), jego pomocnik („retmańczyk“ albo „podretmani“, zwany również „podmajstrzym“ i „czółniarzem“, a niekiedy „dobijaczem“), „przednik“ czyli „gospodarz“ (starszy flisak na tratwie), a w końcu zwyczajny oryl, zwany „calowym“, który bywa niekiedy po drodze „przybranym“. Wtrąć w tem miejscu nawiasem, iż ci właśnie oryle, prawdziwi pospolitacy, jeżeli nawet nie ciurowie w zastępie pławców wiślanych, tytułowali się w nowszych już czasach „księżętami“ wodnymi¹⁾.

Zupełnie odrębne stanowisko wśród obsługi tratew zajmują pisarze kupieccy, których oryle zowią „szyprami“, ci załatwiają jedynie czynności administracyjne i rachunkowe, a należą bodaj wyłącznie do „ludu wybranego“; nad ich siedzibą, „skarbowką“, wionie kapitańska flaga... Pod kluczem szypra bywała ongi w skarbowce żywność dla oryłów: leguminy, poście słoniny, suchary, a nawet wódka. Wyszło to dziś zupełnie ze zwyczaju: ludzie, do spławu używani, muszą sami my-

¹⁾ Ob. W. Kozłowski: „Słownik (leśny, bartny, burztyński i orylski“, str. 318 (Warszawa 1846).



śleć o prowjancie i nabywać „w powiślnych miastach u przekupki groch albo krupki“, przed czym przestrzegał Klonowicz. Na wikt ma im wystarczać część wynagrodzenia, zwana „strawne“ i wydawana przez szypra co tydzień, albowiem resztę zarobku czyli „myto“ otrzymują dopiero po ukończeniu „ryzy“ i muszą z tego źródła pokryć koszt podróży do domu. Nie, tak dawno bierali oni jeszcze drobne dodatki, mianowicie: „garnkowe“ — na kupno garnków, gdy wsiadali na „drzewo“, oraz „odkładne“ przy odwijaniu od ładu, kiedy ruszali pierwszy raz w drogę; ale kupcy leśni, stojąc ściśle na gruncie umowy, poznosili te tradycyjne parozłotowe „darmochy“. Strawne zaś, będące głównym zarobkiem przy orylce, jest tak skromne, iż pozwala myśleć tylko o najprostszym pożywieniu wiejskiem z wyłączeniem wszelkich specjałów, a więc i „gorzałeczki“, wobec czego grzeszą już anachronizmem słowa ludowej piosenki:

„Dziwują się ludzie,
Za co oryl pije:
Za tę drygaweczkę,
Co ją w wodzie myje“.

Wspomniany „retman“ prowadzi zazwyczaj kilka tratw, zbitych z pojedynczych „pasów“ drzewa, czyli t. zw. „kolej“, wytakając „tor“ dla tratw przy pomocy pionowych pręcików wiklinowych, zwanych „wesoły mi“, — za nim płynie w takiej samej łupince „retmańczyk“, który, częstokroć „obertując“ i „warując wiosełkiem“, daje hasła „przednikowi“, stojącemu w „głowie“ tratwy, a ten już wydaje stosowne rozkazy tratwianej osadzie. Wszyscy oni muszą „znać się na wodzie“, co nie jest wymagane od pospolitego oryla: każdy „fryc“, gdy odbędzie dwie—trzy „pływanki“ czyli „ryzy“, staje się już dostatecznie sprawnym „calowym“. Większość orylów, na tratwach, Wisłą płynących, stanowią bezrolni lud wieśniaczy Kongresówki, mianowicie okolic, nad tą rzeką lub jej dopływami położonych; są jednak między nimi i chłopcy galicyjscy, zwłaszcza z okolic Tarnobrzega i Ulanowa, a nawet niekiedy Rusini z Cesarstwa, prowadzący drzewo początkowo Bugiem. Po doprowadzeniu „lasu“ czyli drzewa do „pala“ (zazwyczaj do Torunia lub Solca Kujawskiego, rzadziej do ujścia Brdy w Prusiech), wracają oryle w strony rodzinne,

nie, jak dawniej, piechotą, lecz głównie parowcami i koleją („maszynką“ i „maszyną“). Przed kilkunastu laty, gdy spław drzewa na Wiśle był bardziej ożywiony, niektórzy oryle galicyjscy nie powracali na zimę do domu, lecz pozostawali w Królestwie, szukając tu zarobku, z kądem ten zwano ich „zimówkami“; nie cieszyli się oni jednak dobrą opinią, skutkiem czego kupcy leśni, właściciele transportów drzewnych, zastrzegali sobie w umowach z retmanami, aby ci nie używali do spławu tratw „fryców“ i „zimówek“.

Widnokrąg tedy „krajoznawczy“ dzisiejszych orylów jest dość ciasny: nie dopływają oni nawet do miejsca poniżej Gniewa, gdzie niegdyś „dawano pamiętne“ frycom, bijąc ich cholewą od buta i mówiąc przy tem:

„Więc znaj, gdzie droga pod Gdańsk aż do [draga,¹⁾
A gdzie prowadzi Nogat do Elbląga“!...“)

Liczne są miejscowości nadrzeczne, których mieszkańcy udają się najpierw na „zbiżankę“ drzewa, a potem odbywają chadzki na tratwach. Pomijając atoli wioski Powiśla tak „górskie“, jak „dólskie“, t. j. w górnym lub dolnym biegu rzeki położone, wypada tu wymienić dwie znaczniejsze miejscowości, dostarczające oryla: miasteczko Ulanów nad Sanem i osadę Kamieńczyk nad Bugiem; tam znajdziemy całe rody flisacze, stamtąd wychodzą nie tylko zwyczajni „calowi“, ale i spławniczowie oraz ich pomocnicy. Przy pierwszym podmuchu wiosny taki Kamieńczyk całkowicie się niemal wyludnia: wszystko, co w nim żyje, z wyjątkiem starców, kobiet i dzieci ciągnie „na flis“. A przecież spławianka drzewa to praca ciężka,

¹⁾ Dragiem (nm. Sperrbaum) zwano rogatki wodne pod Gdańskiem, gdzie statki, wpływające do portu miejskiego na Motławie, musiały uiszczać stosowną opłatę czyli „dragowe“. Dziś niema już ani owego „draga“ ani „dragowego“.

²⁾ Autor korespondencji „Z nad górnej Wisły“, zamieszczonej w lwowskim „Słowie Polskiem“ z d. 20/VII 1904 r., a przytoczonej w pracy p. n. „Wisła“ W. Piechowskiego (czasop. „Ekonomista“ z r. 1905), twierdzi wprawdzie inaczej, zaznaczając, iż „niema flisaka, któryby nie znał dokładnie całej Wisły i jej spławnych dopływów... Znają i morze: dopływają do Latarni pod Gdańskiem“. Sądzę wszelako, iż twierdzenie to jest nie zupełnie ściśle i dotyczyć może tylko orylów starszej generacji, tudzież ich dawniejszych wypraw wodnych.



niekiedy nawet niebezpieczna, prawdziwa, jak mówią oryle, „końska robota“, zwłaszcza, gdy wypadnie „dobywać“, czyli ściągać z mielizny powiązane w „plenice“ potężne kłody. Atoli jakby dla sarkazmu podobne dugowanie „obeschłych“ sztuk drzewa, przy którem flisacy muszą brnąć w wodę, zowie się u nich „weselem“; zniknęła tylko tradycja „weselnej wódki“, którą ich za tę męczącą robotę niegdyś darzono... Co do kobiet, to w ogólności są one na tratwach zjawiskiem zgoła nieznanem, gdyż warzenie strawy lub pranie bielizny staje się tu udziałem mężczyzn. Napomykają o tem słowa popularnej do niedawna wśród orylów piosenki:

„Flisakowa żona
Siedzi sobie dōma —
A flisaczek, — nieboraczek,
Robi wiosłem, jak robaczek...
Płynie do Torunia!“

Podobno jednak na taflach drzewa, prowadzonych wyżem Wisły lub jej dopływami w obrębie Galicji, widzi się niekiedy i postać niewieścia, pozostaje więc ten sam porządek rzeczy, co i na lądzie...¹⁾

Retmani i retmańczykowie, zajmujący niejako stanowiska zwierzchnicze, trzymają się trochę zdaleka od „całowych“; natomiast przednicy, choć stopniem wyżsi, kumają się z „pospółstwem“. Oryle, podobnie jak cały nasz lud, są naogół sympatyczni i do pogawędki chętni. Najstateczniejszymi wśród nich i najbardziej pod względem technicznym wyrobionymi są, oczywiście, retmani, mężczyźni już starsi; na retmanów wybierają ludzi „bywałych“, co to „bez utopku“ powierzona im „kolej“ do miejsca przeznaczenia dopławia, a gdy okazują należyłą sprawność zawodową, zyskują opinię „czułych“. Oni głównie są zarazem przechodzącymi tradycji językowej spławników:

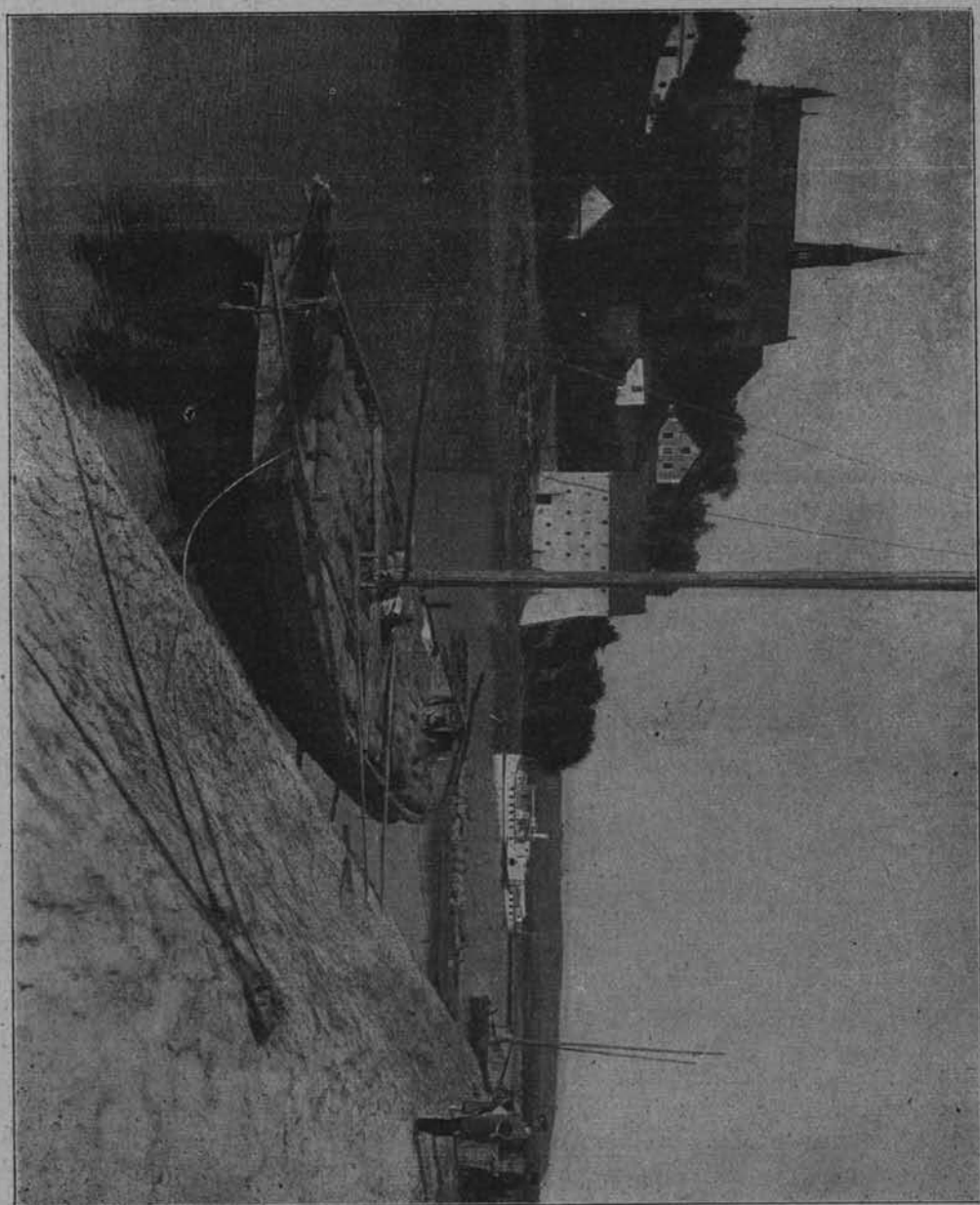
„A nurt zaś krzywy i gościniec główny,
Gdzie ma iść szkuta i dubas warowny,
Wartem nazywa retman już niemłody,
Co świadom wody.“ („Flis“).

Najinteligentniejszymi jednak przewodnikami tratw, z jakimi mnie w czasie wypraw wodnych los zetknął, wydali mi się młodzi retmańczycy, czyli „podmajstrzowie“ z Galicji, wychowańcy tamtejszych szkół ludowych. A zarówno między tymi spławnikami, jak i spławnikami wyższego stopnia, t. j. szyprami lub bosmanami, znajdziemy urodziwe i zgrabne postacie o swoistym typie fizycznym, które nadawałyby się znakomicie, jako studja, dla naszych malarzy i „krajoznawców!“

Jedynie na tratwach i kryptach „polskich“ zachowało się poniekąd dawne życie zbiorowe flisników: płyną gromadnie, pracują gromadnie, gromadnie zakupują żywność w miastach nadbrzeżnych i wreszcie gromadnie wracają z pływanki. Wszakże to nie uchroniło ich od utraty dawnych tradycji obyczajowych!... Do orylów należałoby jeszcze zaliczyć spławiaczów ryb, jakkolwiek przewodnictwo nad nimi w charakterze retmanów obejmują zazwyczaj zawodowi rybacy. Odbywają oni drogę wyłącznie do Warszawy, przyplawiając transporty z położonych w górze Wisły gospodarstw rybnych; przyczem albo płyną na „łodygach“, t. j. wielkich a pojedynczych łodziach rybackich, uwiązując do każdej z nich po kilka „sadzów“ z karpami, albo też „chodzą“ na wielkich „skrzyniach krakowskich“, „nabijanych“ temiż rybami a opatrzonych do spławu „drygawkami“. Ponieważ zaś „skrzynie“ wspomniane należą do kupców rybnych, zowią je również „kupieckimi“.

Celem uzupełnienia powyższej charakterystyki dzisiejszej żeglarki wiślanej i jej przedstawicieli, pragnąłbym dorzucić jeszcze kilka uwag o współczesnej zawodowej gwarze naszych wodniaków. Otóż, podobnie jak za czasów Klonowicza i Magiera, gwara ta stanowi mieszaninę pierwiastków niemieckich i polskich ze znaczną przewagą pierwszych. Dokładne jej poznanie wcale nie jest rzeczą łatwą, różniczkuje się ona bowiem nie tylko w zależności od statków, na jakich jest używana, ale również zależnie od okolicy, gdzie istnieje. Tak np., wyrażenie, znane na berlinie, jest nieznanne na krypie, podobnież termin żeglarski, używany we Włocławku lub Płocku, nie jest zrozumiały w Puławach lub Zawichoście i t. p. Potrzeba tedy wiel-

¹⁾ Nie miałem możności przekonać się o tem osobiście, polegam zaś na opowiadaniu pewnego słuchacza uniwersytetu Jagiellońskiego, rodem z pod Ulanowa.



fol. 22 obłocze Pół. Tow. Krajowa

Wista pod Sandomierzem

kiej ostrożności i nader mozolnych studjów nad żywą gwarą naszych spławników, aby dojść do jakichś niezbitych w tej materji wniosków. Szczegółowe jednak omawianie poruszonej kwestji przekraczałoby ramy niniejszego szkicu, poprzestaję więc na kilku luźnych uwagach.

Niema w tem nic dziwnego, iż terminologia żeglarzy wiślanych obfituje, jak wspomnieliśmy wyżej, w germanizmy, gdyż we wszystkich niemal działach naszego języka technicznego niemczyzna tkwi jeszcze bardzo głęboko. Ale daleko dziwniejszym i nader smutnym jest fakt, iż w rozumieniu tych żeglarzy posługiwanie się wyrażeniami swojskimi stanowi dowód małego wyrobienia technicznego, że, znając niekiedy blizkoznaczne nazwy polskie, starannie ich będą unikać, jako „chłopskich“. Tak więc wyraz „stolec masztowy“ uchodzi za „chłopski“, a za poprawny uważa się „sztembłok“ lub „życembel“; podobnie nie będą używać wyrazu „łapanka“, lecz „fanglajna“ i in. Tylko niektórzy oświeceni spławnicy, zwłaszcza szyprowie z zaboru pruskiego, mają w tym przedmiocie trafne zapatrywanie i, o ile znają jakie wyrażenie swojskie, nie będą go pomijać. Ale tych wyrażeń swojskich lub ze swojska brzmiących jest, niestety, w żeglarce niezbyt wiele! Tak np., wszystkie niemal szczegóły konstrukcyjne berlinki i narzędzia na tym statku, jakoteż części olinowania i użaglenia mają nazwy wyłącznie obce, niekiedy szkaradnie rażące nasze ucho: „ankiernagiel“, „cwetecajch“, „ferdeka“, „jekbum“, „krajcplan“, „kwerbret“, „sztajerdam“, „szwabel“, „szondekiel“ i t. p. Znajdziemy jednak i tu niektóre wyrazy swojskie lub całkowicie przyswojone, jako to: „dunal“, „kantak“, „krajczak“ (rodzaj kotwicy), „okowa“ (wiosła), „plichta“, „siadanka“ i t. p. Muiej stosunkowo niemczyzna rozpanoszyła się na kryptach i małych statkach spławnych, lecz odmienna ich konstrukcja i ubóstwo oporządzenia nie dają materiału swojskiego do zastąpienia nazw niemieckich na berlinkach i barkach. Rodzimy pierwiastek przeważa w nazwach różnych miejsc na rzece i pewnych czynności technicznych, — i te wyrazy, dość nawet liczne, stanowią wspólną iściznę językową prawie wszystkich flisów, np. „bystrz“, „przerwa“, „przykosa“,

„zwara“, „dojezdna woda“, „napławiać“, „pytkować“, „łapać się“, „składać się“, „stawiać gąsiory“ i t. p. Niektóre z tych wyrażeń odznaczają się obrazowością, np. „ślepy wierzchołek“ (wierzch naspy piaszczystej, niewidzialny, mało co wodą przykryty), „powalić statek“ (osadzić go na mieliźnie), „wyświecić statek“ (unieść ponad linię zanurzenia) i t. p. Swojskimi są po większej części nazwy wiatrów: „morka“, „wschodowiec“, „węgier“, „korona“ i t. p. Obn pierwiastki znajdziemy w krótkich słowach komendy: „Hyz!“, „Wara!“, „Ru!“, „Rejda!“, „Wija!“, „Myk!“, „Giereb!“, „Dobylaj!“, „Puszczaj!“, „Chylaj!“, „Pociągaj!“, specjalnie na tratwach: „Wybijaj! (dom. szryki)“, „Stosuj!“, „Gibaj!“, „Porwa!“ i in.

Wreszcie flisowie mają swoje wyrażenia żartobliwe, czysto gwarowe, a nie techniczne, o rodzimej barwie, np. „mąka“ (woda), „pierzyna“ (mielizna piaszkowa) i t. p.

Kończąc niniejszy drobny, bo nie poprzedzony niczyjemi szerszemi badaniami szkic, uważam za właściwe wytknąć to niezwykle słabe zainteresowanie naszego wykształconego ogółu Wisłą i panującym na niej życiem. Wszak szare wody owej „macierzy“, przebiegające na całej swej długości ziemie polskie i symbolizujące nierozzerwalność naszego terytorjum narodowego zasługują chyba na to, aby stać się nareszcie przedmiotem wszechstronnych badań naukowych i artystycznych. Wszak położone już w kącie Polski Podhale byłoby wraz z jego przyrodą i ludem długo jeszcze dla nas „krajina nieznaną“, gdyby nie wysiłki Chałubińskich, Witkiewiczów i Małakowskich! Wielki, zaiste, czas, aby ta „królowa rzek sarmackich“ przestała być dla nas, sarmatów, czemś w rodzaju rzeki Pomarańczowej! A o dowody naszej zupełnej na tym punkcie ignorancji wcale nie trudno. Nie dość bowiem, że nie znamy dokładnie całkowitego biegu Wisły, ale i nie wiemy, gdzie szukać jej bardziej malowniczych wybrzeży; nie dość, że nie znamy własności koryta tej rzeki, ale i nie odgadujemy natury płynących przed naszemi oczami jej wód; nie dość, że nie umiemy nazwać zasadniczych typów sunących po Wiśle statków, ale im się nawet nie przyglądamy; nie dość, że nie staramy się poznać różnolitej rzeszy flisa-



ków, ale się nawet do nich nie zbliżamy; nie dość wreszcie, że lekceważymy gwarę tych „prostaków“, która mogłaby naprawdę wzbogacić nasz język literacki, ale, co gorsza, nie dostrzegamy i nie rozumiemy symbolów ich uczuć, nie wiedząc np., że gdy maszty i liny statkowe ustrojone są wielkimi i małymi proporczykami, to w rodzinie szypira odbywa się uroczystość weselna, gdy zaś u szczytu masztu zawisnie czarna ban-

dera, znak to, iż albo na statku świeżo zaszedł wypadek śmierci, albo też jego mieszkańcy obchodzą rocznicę zgonu jednego ze swoich...

Wobec wzrastającego umiłowania swojej szczyzny i przy powstaniu liczniejszych placówek krajoznawczych nad Wisłą (niema ich bowiem dotąd ani w Sandomierzu, ani nawet w Płocku), ta nasza dziwna obojętność, o której wyżej wspomniano, chyba nareszcie ustanie.



Z NASZEJ TURYSTYKI.

Marjan Mechowicki.

Z PODRÓŻY DO AUSTRALJI.

4)

Po wypoczynku w Colombo na Ceylonie statek rusza dalej. Teraz po 10-ciu dniach podróży przez ocean dotrzemy już do krajów nowych.

Wspaniały widok dają obłoki w pasie podzwrotnikowym zdala od lądu i jego kurzu. Niezrównana z niczem, niepokonana czystość lazurowego tła, odbijającego najwyraźniej pomiędzy chmurami w najmniejszym nawet skrawku! Kiedy poprzez te krainy górskie, z pary wodnej utworzone, przedrze się pęk promieni południowego słońca, z pięknem tej złudy nie da się porównać żadna rzeczywistość, żadne istniejące góry, ich jeziora i wodospady. Niknie zupełnie świadomość, że dookoła jest tylko ocean bezbrzeżny, wiecznie ruchomy i groźny. Przeciwnie, daje on wrażenie jakiejś ojczyznej równiny, służącej za potężną niezmienną podstawę dla tamtych cudnych dziedzin. Najmniej wrażliwi zdolni są patrzeć godzinami. Zapomniane są nuda i zniechęcenie, bez względu na to, że dalej teraz od lądu, niż kiedykolwiek dotychczas, i na to, co jeszcze spotkać nas może po drodze.

A źle nie śpi, i po dniach zachwyty przychodzą dni ciężkie i groźne. Pewnego poranku obudziliśmy się przy silnem a beładnem bałwanieniu i wietrze. Niebo było jeszcze czyste, ale tem przykrzejszy jest widok białych grzbietów i rozhukanego żywiołowo lazuru wodnego. Statek drgał nierówno, chwiał się we wszystkie strony, zaczerpując wody na pokład.

Morze ryczało tak, że na powietrzu można było porozumiewać się tylko na migi.

W ciągu dnia nie polepszyło się, a na wieczór chorzy i pomęczeni podróżni wcześniej poszli spać. Sen ich wszakże niedługo trwał. Około północy zaczęła się burza naprawdę. Fala już teraz szła w jednym kierunku — prosto na nasz statek, a tak była potężna, że wskakiwać na jej grzbiet nie mógł, więc poprostu przerzynał się przez jej środek. Takie starcie odczuwali podróżni na przodzie przedewszystkiem, jako silny cios w dziób statku. Przednia pionowa belka głucho za każdym razem zadzwoniła, jakby w tej walce wyszlachetniał jej kruszec. Następnie pokłady z rykiem zalewała topiel, poczem przychodziła krótka pauza, wypełniona szumem spływających do morza mas wody. I znów to samo, a tak sto, tysiąc, dziesięć tysięcy razy... Aby nie wylecieć z łódka, trzeba się było trzymać obiema rękami.

Pomimo pozamykanych drzwi, do III klasy dostała się woda, co zresztą nie przedstawia niebezpieczeństwa, gdyż są urządzenia do jej odprowadzania. Tylko temu i owemu zamokło obuwie lub waliza. Dzień wstał ciemny, niemal jak noc sama, i zmiany żadnej nie przyniósł. Mało kto co jadł, a większość nie wstawała z łóżka. Potem minęła jeszcze jedna noc taka, jak poprzednia, i dopiero następnego dnia przed południem można było wyrzeć na pokład bez obawy, aby być splukany do morza. Na wieczór wszyscy stopniowo wylegli z kajut, bo chociaż nieraz jeszcze statek bokiem zaczerpnął na



pokład wody, szczególnie na tyle, podróżnym wydawało się to piękną pogodą w porównaniu z tem, co przeszli. Marynarze, którzy mimo wszystko musieli być na stanowiskach, opowiadali, że już były godziny, kiedy morza od nieba nie odróżniano wśród dnia. Dookoła była jakaś mieszanina wody z powietrzem. U steru w takich godzinach stał sam kapitał, a każdy, kto był na mostku, musiał być uwiązany. Wszędzie poprzecigano liny do trzymania się.

Statek nie ucierpiał nic. Pod tym względem burza mniej może zdziałała, niż przejazd przez kanał Suezki, gdzie stale łamią się skrzydła śrub.

Noc przeszła już względnie spokojnie, a rankiem tłumnie wylegliśmy na dziób statku przyrzeć się delfinom, których całe stado pędziło na wyscigi z nami tuż pod powierzchnią wody. Są to zwierzęta (ssące) wielkości rosnącego mężczyzny, o kształcie wrzecionowatym, ostrym ryju i jednej dziurze nozdrzowej na środku łba, posiadają ogon i pletwy, jak u ryb, skóra na grzbiecie ma kolor brunatny, na brzuchu zaś zupełnie białą. Są towarzyskie i wesołe, w wyscigach ze statkiem przewracają się to na boki, to wznak, co chwila przepływając z jednej strony na drugą. W szybkim biegu zupełnie nie znaczą ruchu pletw lub ogona, zapomocą których mogą pędzić z szybkością 20 wiorst na godzinę. Wreszcie pomęczone znikają stopniowo.

Jeszcze dwa dni, a powietrze zaczęło się szybko oziębiać, powiedziałbym za nagle i za wcześnie. Wszak, coż na to poradzić — minęliśmy zwrotnik i zbliżamy się do tej strefy, w której obecnie panuje zima. Wiatr wieje prosto od bieguna południowego, nie wstrzymywany przez żaden rozgrzany ląd. Pewnego rana budzimy się od hałasu maszyn — czyżby to był ląd? Dziw, że nie słychać przytem nawoływań i krzyków ludzkich. Podróżni tak byli spragnieni widoku lądu, że nie przeszkadzała chłód i mglisty świt, i w parę minut wszyscy wylegli na górę. Rzeczywiście, statek stoi już w porcie Fremantle obok bulwarku, ale mgła przeszkadza widzieć sam ląd. Przy maszynach w milczeniu i bez pośpiechu pracują zimni Anglosasi, w sztylpach i ceratowych waterproofach, niczem istotnie nie przypominający bosych i ledwo okrytych robotników portowych w Neapolu. Organizmy ich muszą się dziś czuć w swoim żywiole, gdyż podobna mgła, właściwa starej ich ojczyźnie, zdarza się tu nader rzadko.

Okolo 8-ej znika też ona, ukazuje się jasne niebo i okolica, świeżo splukana deszczem. Gromadnie wychodzimy na ląd, aby zwiedzić miasteczko. Na bulwarku chodzą po szynach dwie duże żelazne windy w kształcie bram, poruszane elektrycznością. Są one bezczynne na ten raz, ponieważ windy okrętowe dyskonale ładują towar ze statku bezpośrednio na wagony, stojące na torze pod windami. Wszystkie wagony są bez dachów, jak nasze węglarki, to też nie mogłem wyjść z podziwu, jak można przewozić w ten sposób tak drogi towar, jak herbatę. Każdy wagon został wprawdzie zaraz po naładowaniu okryty nieprzemakalną oponą, wszakże to musi być albo zupełny brak złodziei, albo niebawale dobrze zorganizowana policja.

Tuż zaraz za torem leżą magazyny i składy portowe, następnie doskonale wyszosowany dojazd do nich dla furmanek, dalej za parkanem terytorjum kolejowe, o torach znacznie węższych niż zachodnio-europejskie, dalej miasteczko. Fremantle było niegdyś osadą zesłańców, później stało się punktem portowym, ponieważ ujście rzeki Łabędziej (Swan river), wpadającej tu do oceanu, dało się z łatwością przerobić na port. Ostatnimi czasy wydłużono i rozszerzono je jeszcze, syjąc w przedłużeniu brzegów rzeki dwie groble i chwytając niemi spory kawałek oceanu, jak dwoma ramionami. Za materiał dla tych tam posłużyły odłamy porowatych skał koralowych, wydobytych w sąsiedztwie bez wielkiego nawet trudu tuż przy brzegu.

Ruch w porcie tym zresztą niewielki, najbliższy bowiem i jedyny większy punkt, miasto Perth, stolica stanu Zachodniej Australji, liczy zaledwie 90,000 mieszkańców. Fremantle nie nosi jednak ani w części charakteru naszych małych miasteczek, a choć można je obejść dookoła w ciągu godziny, i ruch na ulicach jest nieznaczny, całość robi wrażenie kawałka wykrojonego z dużego miasta. Wprawdzie tylko przy głównej ulicy jest trochę piętrowych domów, ale zato za lustrzanymi szybami wystawy sklepowe, jak w Warszawie, sama ulica, a także kilka przyległych, wylane są asfaltem, miasto łączy z okolicą tramwaj elektryczny, a w najpiękniejszym narożnym budynku z wieżyczką jest państwowa galerja obrazów. Tylko kościoły nie rzucają się wcale w oczy, są to raczej kaplice niż kościoły, nawet katolickie, i mieszczą się przy dalszych ulicach.

Wegetacja skąpa w całym tego słowa znaczeniu, bo nawet teraz w porze względnie wilgotnej. Lecz roślinność zbliżona do zwrotnikowej: wielkie magnolje, a tu i ówdzie palmy. Po drodze spotkaliśmy mnóstwo dzieci, idących do szkół: wszystko dziarskie i snadź zaprawione do fizycznego ruchu, pieguate tylko ogromnie, o twarzach ściągłych, prawie chudych, i co najdziwniejsze, nigdzie ani dopatrzyć się rumieńca. Widocznie upalne długie lato wywiera swój wpływ, gdyż ta sama zwiędła cera uderza i u dorosłych, zwłaszcza kobiet, nieraz bardzo żywych i wdzięcznych w ruchach, a przedwcześnie starych na twarzach. Tem dziwniej wygląda to przy krótkiej sukni (często znacznie powyżej kostek) i warkoczyku, co podług zwyczajów australskich uchodzi nawet przejrzałym pannom.

Stan Zachodniej Australji zajmuje największe terytorjum z sześciu państw australskich, ale jest najsłabiej zaludniony i najuboższy ze wszystkich. Mianowicie powierzchnia jego obejmuje 975,920 angielskich mil kwadratowych, czyli 620,588,800 akrów, gdy w 1907 r. doliczono się na niej zaledwie 263,846 mieszkańców, nie licząc dzikich, których rzeczywiście nikt nie liczył, a których zresztą jest coraz mniej. Obrazowo można to sobie przedstawić, wzięwszy tylko połowę ludności naszej Łodzi i rozsypując ją po całej zachodniej Europie od Kalisza aż do Lizbony.

Powód tak słabego zaludnienia stanowi bardzo suchy klimat, mało sprzyjający rolnictwu i wystarcza-



jący zaledwie pasterstwu. Kiedy zagłębiłem się cokolwiek w kraj wzdłuż rzeki, spostrzegłem, że rynnny domów wiejskich odprowadzają wodę deszczową z dachów do szczelnie zamkniętych beczek z blachy falowanej, a ma to być jeszcze najlepsza woda. Jakkolwiek i za najgorszą trzeba tu drogo płacić. Pasterstwu na całym łądzie australijskim sprzyja niezwyczajnie pożywna pasza podnożna. To też owce tamtejsze znacznie przerastają swój gatunek, gdziekolwiek bądź indziej na świecie hodowane. Przecho-
dząc w kilku obok sklepu rzeźniczego w Fremantle, zwróciliśmy uwagę na jakieś nieznanne oprawione zwierzę, bez głowy już i kopyt, zawieszone w oknie. Ktoś nawet wyraził naiwne przypuszczenie, że jest to kangur, ktoś inny, częściej widocznie stykający się z życiem codziennem, zwrócił uwagę, że kształtem zupełnie przypomina barana, na co zgodziliśmy się, lecz ze względu na wymiary przypuszczając cię, weszliśmy do sklepu po informację. Okazało się, że był to istotnie baran, a jednocześnie rzeźnik pokazał nam kilka innych, z głowami jeszcze, istotnie zdumiewająco dużych. Co ważniejsze, że wypasione na miejscowej trawie baran ma na sobie przy minimalnej ilości tłuszczu masę chudego czerwonego mięsa. Przy stosie pacierzowym, w miejscu pomiędzy żebrami a żadem przekrój dochodzi do 7 cali średnicy.

W pasie nadbrzeżnym, wilgotniejszym, z czasem rozwinie się naturalnie rolnictwo, istnieją próby sadownictwa i ogrodnictwa, lecz obecnie jeżeli co kogo ciągnie do Zachodniej Australji, to gorączka złota, gdyż jedyny to jeszcze kraj, gdzie go czasem trochę znaleźć można. Gorączce tej podlegają zwłaszcza Włosi, a ponieważ są już w tej mierze znani wśród uchodźców innych narodowości, więc się tego trochę wstydzą i najczęściej udają inny cel swej podróży, np. wyrąb lasu. Kto trochę zna miejscowe stosunki, nie uwierzy w to. Istnieje wprawdzie w Z. A. parę przedsiębiorstw leśnych, zatrudniających razem kilkaset roboczych rąk, lecz gdyby wszyscy Włosi, jadący tam, zaczęli rąbać lasy, należałoby przypuszczać, że kolonizacja gruntów idzie w nader przyspieszonym tempie. W rzeczywistości zaś nie zachodzi tu żadna potrzeba rąbania lasów w tym celu: leżą odłogi w oczekiwaniu pluga wielkie prze-

strzenie zupełnie dobrej ziemi, drzewami zaledwie zrzadka porośnięte. Drzewa te — eukaliptusy — przy uprawie roli są najczęściej pozostawione na miejscu, bardzo mało bowiem cienia rzucają.

Zresztą ten Australji tylko właściwy przedstawiciel flory ma sporo odmian, poczynając od olbrzymiego iron-barc, kończąc na prącu, którym bardzo chętnie obsadzone są murowane domki, a który może jeden jedyny ma obfite ulścienie. Wszystkie inne zadawałają się minimalną takowego ilością, o martwej szarozielonej barwie. Brudno-biaława gładka kora najpospolitszej odmiany potęguje przykre wrażenie suchych szkieletów drzewnych. Zasadzenie eukaliptusu w wielu okolicach Włoch spowodował fakt, iż drzewo to oczyszcza ma powietrze z zarazków febry. W Australjskiej Rzeczypospolitej jednak uważa się za rzecz bardzo niepożądaną utrzymywać, że „jukałiptes“, jak Anglicy ten wyraz wymawiają, nie grzeszy pięknnością, ale też trzeba mu oddać sprawiedliwość, że potrafi rość na najszczerzszym piasku i nagięj skale i wciska się stopniowo w głąb centralnej pustyni wślad za przywiezionym przez kolonistów wraz z nasieniem pszenicy perzem.

Ten ostatni — znana wszystkim trawa o długich białych mocnych korzeniach, stanowiąca nieraz plagę rolnika u nas, wyruszyła tam, jako przednia straż świata roślinnego przeciwko jałowym piaskom, wdzierając im piędź po piędź. Znałem ludzi, którzy przez kilkanaście lat byli świadkami takiego posuwania się roślinności w głąb kontynentu.

Wracając do iron-barc'u, muszę nadmienić, że jest to istotne żelazne drzewo o drobnofalistych kędzierzawych warstwach, nie zrównane na pole, bulwarki i wogóle jako budulec, ale fabryki mebli sprowadzają drzewo z Ameryki. Wzamin Australja wysyła tam w wielkich ilościach podkłady kolejowe z iron barc'u.

Praca opłacana jest w Zachodniej Australji drożej, niż w innych stanach. Robotnik „przy złocie“ dostaje 14 szylingów (6 rb. 50 kop.) dziennie. Lecz ze względu na to, że musi kupować nawet wodę, nie odczuwa bardzo tak wysokiej płacy.

D. C. N.



Franciszek Gawełek.

ŻÓŁKIEW.

3)

Rok 1691 sprowadził wielkie nieszczęście na Żółkiew. Z powodu nieostrożnego obchodzenia się z fajką woźnicy Macieja Chodaka wybuchł w mieście groźny pożar, niszcząc prawie wszystkie domy wraz z przedmieściem Glinińskim i kościołem. Aby ratować miasto, znosi król na lat ośm podatek czołowego i podymnego, oraz nadaje nowe prawa, mocą których wszystkie sprawy, sądy, czyny, handel i kupiectwo powinny zdyżać do tego, „aby się zgadzały z chwałą Najwyższego Pana Boga“. Miasto otrzymuje na nowo prawo magdeburskie, ma wybierać wójta, burmistrza, rajców, przysięgłych i ławników. Mieszczanie otrzymują wolność, ale mają ćwiczyć synów w naukach wyzwolonych; cechy otrzymały zatwierdzenie przywilejów a żydzi zostali przypuszczeni do cechów a nawet otrzymali pozwolenie na założenie drukarni hebrajskiej.

Niedługo jednak Żółkiew miała się cieszyć swym dziedzicem, niedługo już miała zażywać jego błogosławionych rządów. Roku 1693 zapadł król na zdrowiu, którego już nigdy nie odzyskał. R. 1694 w maju odbył się ślub córki królewskiej, Teresy Kunegundy, z elektorem bawarskim, ks. Maksymilianem Emanuelem. Wyprawiono sute wesele, ale był to już ostatni błysk szczęścia i chwały.

W roku 1696 wyjechał król z Żółkwi, aby się udać do wód w Jeleniogórze, lecz nielitościwa śmierć przecięła pasmo jego chlubenego żywota w Wilanowie, ulubionem jego ustroniu pod Warszawą, dnia 17 czerwca. Umarł, tknięty apopleksją, w 67 roku życia, a 22 panowania.

Po śmierci Jana III Żółkiew przeżywała straszne czasy. Królowa Marja Kazimiera wicherzyła między synami do tego stopnia, że gdy sejm konwokacyjny dnia 27 sierpnia 1696 r. nosił się z zamiarem obrania królem jednego z synów Jana III, królowa zaklinała publicznie elektorów, aby nie obierali żadnego z synów.

Po śmierci króla obejmuje Żółkiew królewicz Konstanty. Życzeniem młodego dzie-

dzica jest utrzymać miasto na tym stopniu świetności, do jakiego podniósł je jego ojciec. I rzeczywiście początkowo szczęście sprzyja młodemu dziedzicowi, miasto się rozwija i podnosi po niedawnym pożarze, przybawają nowe ulice: Dominikańska, Srebrna i Ochrymowska. Lecz w roku 1704 nowe zaburzenia wstrząsają nie tylko krajem, lecz i miastem. Wojna Karola XII z Augustem II niszczy Polskę. Wojska szwedzkie, saskie i moskiewskie przechodzą przez Żółkiew, niszcząc i rabując, co się tylko da. Na dobitkę wybucha w mieście zaraza, która porywa setki ofiar. Dopiero roku następnego we wrześniu zakończyła się wojna i wówczas to powrócił do Żółkwi królewicz Konstanty wraz ze swą żoną, Marją Józefą de Wessel. Tu przybył także car Piotr Aleksiewicz, celem zawarcia układu z Radą lwowską i tu przyszedł do skutku sojusz, mający za zadanie obronę wspólnych interesów w dalszej wojnie z Karolem XII. Tu car Piotr zatrzymywał się przez dłuższy czas i stąd wydawał odezwy i rozkazy do swoich wojsk.

Troskliwy o dobro miasta Konstanty przebywa tu stale od roku 1709, nadając różne ulgi i przywileje mieszczaństwu, w którym widzi jedyną podpórę miasta. Wzrasta znowu przemysł, wzmagają się mieszkańcy, dobro-



Część Zamku w Żółkwi od strony rynku.



był się podnosi. Rok 1710 zakłóca na chwilę spokój: wybucha walka między żydami, z powodu przyjęcia chrztu przez rabina Serafinowicza. Ojcem chrzestnym był królewicz Konstanty z Elżbietą Szaniawską, wojewodziną belzką.

Z końcem roku 1714 nowa żałoba okryła miasto Żółkiew. Dnia 9 listopada umarł w Rzymie królewicz Aleksander. W dwa lata później, 1716 r., wojska saskie rozłożyły się w tych stronach obozem, w celu bronięcia interesów Augusta II. Żołnierze rabowali kościoły, zabierali dobytek okolicznej szlachty i włościan, a opornych karali śmiercią; czego sami zużyć nie mogli, to sprzedawali w Kulikowie. Dnia 4 lutego O. O. Dominikanie złożyli im okupu 3.078 zł. p. W Belzie padł ofiarą rabunku kościół Dominikanów, a księdzę Wodzińskiego pędzono bosą wśród mrozu aż do Żółkwi. Na domiar tych nieszczęść 1718 r. wybuchł znowu straszliwy pożar, niszcząc doszczętnie prawie całe miasto. Kościoły, pałace i wspaniałe wille legły w gruzach. Kościół Dominikanów wraz z klasztorem uległ zupełnemu zniszczeniu, szpital św. Łazarza, cerkiew św. Trójcy i inne znikły z powierzchni ziemi. Nie dosyć na tem. Następnego roku przeniosła się tu ze Lwowa straszliwa zaraza, zabierając ludzi i dobytek. Zdawało się, że zbliża się dzień ostateczny Żółkwi.

Nie łatwo jednak można było położyć kres tej silnej moralnie i fizycznie twierdzy. Byli ludzie żelaznej woli, pamiętni tradycji, którzy powiedzieli sobie: „chcemy żyć“. Od roku 1740 energiczne rządy ówczesnego burmistrza Tomasza Rozumszewicza i rajców: Ciechowicza, Nowosielskiego i Kozłowskiego dźwigały stale miasto z upadku... wróciły lepsze czasy, odżyły też i tradycje wielkich dziedziców Żółkwi. Królewicz Konstanty, przemieszkując stale w zamku, wznowił dawne życie dworskie. Zaroilo się od gości w Żółkwi. Nie podobało się to Augustowi II, który upatrywał w tem jakieś tajne zamiary królewicza. Obawiał się, czy Konstanty nie sięgnie po koronę polską. To dało powód do ciągłego śledzenia wszystkich kroków dziedzica Żółkwi, oraz do nasyłania szpiegów dworskich, a nawet wojska saskiego.

Obawom Augusta II położyła kres śmierć Konstantego. Dnia 22 lipca 1726 r. zamknął

oczy wielki dziedzic Żółkwi, syn królewski, Konstanty Sobieski. Ciało złożono w kolegiacie żółkiewskiej pod wielkim ołtarzem. Żona królewicza pędziła odtąd życie nader pustelnicze, oddana jedynie ćwiczeniom pobożnym i uczynom miłosierdnym. Szczególniejszą opiekę okazywała ubogim.

Ważnym dokumentem historycznym jest inwentarz, sporządzony po śmierci Konstantego w 1726 r., dzięki któremu poznajemy bogactwa zamku żółkiewskiego. Oto z obszernego tego spisu dowiadujemy się, iż pokoje zastawione były meblami, krytymi skórą gdańską, altembasem, brókatem, że ściany zawieszane były obrazami pierwszorzędnych artystów, wykładane materją przetykaną złotem, stoły hebanowe, srebrem lub złotem wykładane, misy z perłowej macicy, czarki, porcelana, szkła włoskie, miniatury, namioty i buńczuki tureckie i tatarskie, droga broń, piękna biblioteka i t. d. Co do armatury, dowiadujemy się z powyższego spisu, iż w baszcie na dole przy cekhausie znajdowało się 91 sztuk strzelby pordzewiałej, w zamkach porujnowanej, buzdycan kozacki, tarcza staroświecka wielka drewniana, skórą obita, strzelby pacholskiej, porujnowanej, sztuk dwadzieścia jedna. Szturmak, mosiądzem powlekany wielki. Moździerz maleński, ładny spiżowy moździerz żelazny. Armatka maleńska spiżowa na lawecie cała. Szyszków prostych pordzewiałych czterdzieści i dwa. Zbroja zbyt wielkiego człeka, pordzewiała i porujnowana. Albard różnej inwencji robionych pordzewiałych dwadzieścia i dwa. Berdyczów moskiewskich staroświeckich, pordzewiałych, trzy. Granatów próżnych żelaznych mniejszych i większych jest siła. Wieńców fajerwerkowych dziesięć. Bagnetów z pochawkami sto jeden. Hakownic większych i mniejszych, pordzewiałych i nadrujnowanych, sztuk pięćdziesiąt. Moździerz spiżowy na łożu, długi. Armatka sznurkowa, skórą powleczona, laweta do niej bez kół. Armat spiżowych z Pomorzan, tureckich, trzy. W tem spiżowa chrześcijańska jedna. Armat żelaznych pięć. To wszystko bez lawetów. Lawetów wielkich bez kół, nadrujnowanych, dwanaście. Item mniejszych laweta jedna. Armat krótkich żelaznych w bramie trzy. Item organki o żelaznych rurkach i t. d.



Po Konstantym rządy nad Żółkwią objął królewicz Jakób. Miasto cieszyło się i nadal troskliwą opieką ze strony nowego dziedzica. Przemysł i handel wciąż się podnosił i rozwijał, a zamek zażywał w dalszym ciągu szacunku i poważania, jakim cieszył się za życia króla Jana. Jakób Sobieski przebywał teraz stale w zamku wraz ze swymi córkami: Marią Karoliną, poślubioną księciu de Bouillon, Marią Kazimierą i Marią Klementyną, poślubioną Stuartowi, pretendentowi do tronu angielskiego.

Celem zabezpieczenia kościoła Dominikanów w przyszłości od ewentualnych pożarów Jakób wydał zakaz budowania jakichkolwiek domów w pobliżu tego kościoła, a nawet rozkazał zburzyć te, które „ad praesens znajdowały się in contiguitate murów świątyni”. Również nie mogły się tam znajdować żadne karczmy, ani nie wolno było grać muzyce, jako że jest to „contra reverentiam świątyni Pańskiej”. W roku 1735 wybudował nowy szpital wraz z kościołem, który istnieje po dziś dzień w miejscu, gdzie obecnie mieszczą się S. S. Felicjanki.

Dnia 19 grudnia 1737 śmierć przecięła pasmo tego skrzętnego żywota. Zeszedł do grobu ostatni potomek wielkiego rodu Sobieskich, zgasła ostatnia latorośl męska rodu królewskiego, Jakób Sobieski. Nadzwyczajne znaki na niebie miały poprzedzić śmierć królewicza. Opowiadają, że zegar na wieży zamkowej wybijał godziny w nieskończoność, że niebo nad miastem przez dwie nocy było tak zaczerwienione, jakby krwią polane, a zjawisku temu miały towarzyszyć grzmoty i błyskawice, podczas czego spadł herb Janina z zamku królewskiego i zniknął gdzieś bez śladu i t. d.

Całe dziedzictwo objęła teraz Marija de Bouillon; atoli nowe nieszczęście spadło na miasto w postaci groźnego pożaru, który zniszczył prawie całe przedmieście lwowskie i kościół Dominikanów. Czego nie zniszczyło trzęsienie ziemi w roku 1738, jakie nawiedziło miasto, to obecnie znikło w płomieniach ognia. Żadna pomoc nie mogła się przyczynić do przywrócenia dawnej świetności miasta.

Dnia 8 maja 1740 r. umarła księżna de Bouillon, przekazując w formie donacji dobra żółkiewskie księciu Michałowi Radzi-

wiłowi. 11 miast i miasteczek należało teraz do Radziwiłłów: Żółkiew, Kulików, Jaryczów, Zarudzie, Zborów, Kukizów, Złoczów, Sasów, Markopol, Jezierna, Pomorzany i 140 wsi.

Michał Radziwiłł był wnukiem Katarzyny Sobieskiej, rodzonej siostry króla Sobieskiego. Wojewoda wileński, hetman litewski, Michał nie osiadł na stałe w zamku, lecz tylko tu bywał gościem. Taki stosunek nowego dziedzica do miasta musiał się odbijać niekorzystnie na interesach Żółkwi, która już i tak była znacznie podupadła. Mieszczanstwo żółkiewskie w tych przejściowych latach straciło dużo z dawnych zdolności i przedsiębiorczości do handlu i przemysłu, wszędzie znać było zanik dawnej świetności, upadek był bliski.

Wprawdzie Michał Radziwiłł akcentował, że zależy mu na podtrzymaniu pierwotnej okazałości miasta i nawet w tym celu podejmował pewne fundacje, atoli brak mu już było tego, co cechowało dawnych właścicieli. Dzięki staraniom Michała i wpływom Jakóba Stuarta, męża Marii Klementyny, Żółkiew otrzymała opactwo 1743, a cechy zatwierdzenie przywilejów, ale to już nie mogło wystarczyć. Wszędzie dawała się odczuwać jakowaś pustka...

Wzgląd na zeszele pożary w mieście skłonił ówczesnego dziedzica do ustanowienia straży pożarnej, w której skład miały wchodzić wszystkie cechy: cech bednarzy, kowali, ślusarzy i rzeźników miał toporami i siekierami rozrywać palące się budynki; cech krawców, kuśnierzy i szewców miał dostarczać wody; garncarze, browarnicy i pospólstwo mieli wyciągać z domów sprzęty, a tkacze pilnować rzeczy, złożonych na ulicach. Starał się też Radziwiłł i o fundację opactwa przy cerkwi. Bazyljanów w Żółkwi, a nawet zapisał na ten cel 20.000 zł. p., o czym wspominają kroniki cerkiewne.

R. 1748 nawiedziła Żółkiew straszna plaga szarańczy. Pola zupełnie zniszczone. „Rok 1748 — czytamy w aktach kościoła żółkiewskiego — prawie na cały świat, ledwie nie wszystką resztę była powtórnie powietrzem wymorzył, tudzież szarańczę, która się około granic podolskich wylęgała i w niwecz je ogołociła tak dalece, że niepamiętny i niesłychany nigdy głód w Podolu uczyniła”.



Kościół farny w Żółkwi.

Kościół i klasztor Dominikanów, który już kilkakrotnie bywał pastwą ognia w r. 1754 uległ pożarowi. Restauracją zajął się tym razem książę Michał, przeznaczając na ten cel znaczniejszą sumę pieniężną. O porządek i karność w mieście troszczył się Radziwiłł zawsze. Z tych czasów zachował się jeszcze miecz obosieczny z literami A. D. 1756, którym ścinano zbrodniarzy.

Po śmierci księcia Michała objął Żółkiew młodszy syn księcia, Karol, ordynat ołycki w 1763. W opłakanym wówczas musiała się Żółkiew znajdować stanie, a zwłaszcza pomniki w kościele, gdy arcybiskup lwowski, Hieronim Sierakowski, polecił kolegiacie „napisy uszkodzone na pomnikach fundatorów odnowić, a obrazy i cymborjum hebanowe mieć w lepszym poszanowaniu.”

R. 1767 stały tu obozem wojska rosyjskie, a 1770 nawiedziło miasto znowu powietrze morowe. Zaraza szerzyła się z taką gwałtownością, że aż król Stanisław August przysłał z Warszawy sanitariuszy, aby nieśli pomoc nieszczęśliwym. Trudny jednak był ratunek, zwłaszcza, że zaraza rozszerzyła się szeroko po całym Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Ludzie ginęli jak muchy. Wielu schroniło się w pobliskich lasach i polach, szukając tu schronienia. Chrześcijanie wyemigrowali do Starej Skwarzawy, Żydzi — do

lasu błyszczowodzkiego, gdzie ich umarło przeszło 1,800. Dopiero ostra zima w grudniu stłumiła dżumę. Ludzie wracali, jak cienie, do opustoszałego miasta, by rozpocząć tu nowy żywot. Miało wówczas zginąć około 7,000 ludzi. Dwie figury przy drodze glińskiej są świadkami tej okropnej katastrofy.

Odtąd miasto coraz bardziej upada... 1772 wojska austriackie zajęły Lwów. W miastach zniesiono prawo magdeburskie, co stało się powodem upadku wielu zamkniętych miast, między innymi i Żółkwi... Pustka świeciła wszędzie... Kościół Dominikanów zamieniono na składy mąki i zboża, aż dopiero Józef

II zdecydował, aby go zostawić w całości „ad curam animarum”. Miasto Żółkiew przemienione zostało na miasto obwodowe. Pierwszym starostą był Franciszek Gering. 1787 r. zniesiono klasztor Dominikanek, zamieniając go na szpital wojskowy, który po dziś dzień istnieje. Tego samego roku Żółkiew drogą kupna nabył Adam Józefowicz, generalny komisarz dóbr Radziwiłłów. W roku 1806 wojska polskie wkroczyły do Ż. W. Rulikowski został prezesem rządu wojskowego. Dnia 2 lipca 1823 odwiedził Ż. Franciszek Karol, ojciec cesarza Franciszka Józefa I. Część zamku od strony rynku nabył rząd, pomieszczając tutaj biura starostwa, a w zachodnim skrzydle sąd powiatowy. Główną część zamku, gdzie ongi było mieszkanie Żółkiewskich i Sobieskich, kupiło miasto w roku 1891-ym od Artura Głogowskiego. Marmury, malowidła i posągi znajdowały się tu jeszcze z końcem XVIII wieku. Dopiero w latach 1850—1860 właściciel Artur Głogowski miał zburzyć kaplicę zamkową i pozabierać cenne zabytki, aby je użyć na inne cele. W kaplicy między innymi cennymi zabytkami, znajdował się też obraz Matki Boskiej, przywieziony z pod Wiednia. Żydzi rzucili się skwapliwie do rozbierania pięknego materiału na stajnie i kramy, przyczem zniszczono posągi kamienne Jana III, Jakóba Sobieskiego,



Jana Daniłowicza, Stanisława Żółkiewskiego i Radziwiłłów, zdobiące niegdyś główne schody. Co nie zostało zniszczone, zabrał Wilhelm Siemieński dla ozdoby swego parku w Magierowie. Odrzwia kamienne, marmurowe płyty i kominki, kolumny, głazy i rzeźby uległy temuż samemu losowi. Wspaniałe ogrody, klomby, wodotryski, winnice, sadzawki i zwierzyńiec zostały zniszczone.

Serce się kraje na wspomnienie tego wandalizmu, na zbezczeszczenie tyłu świętych i drogich każdemu Polakowi pamiątek.

W ostatnich czasach znaleziono ośm figur, więcej niż naturalnej wielkości, pochodzących prawdopodobnie z XVIII wieku, a wykonanych artystycznie z drzewa lipowego. Z tych sześć zdobiło niegdyś westybul, wiodący do komnat Sobieskich i Radziwiłłów, dwie — przedstawiające Matkę Boską i św. Jana, mieściły się w kaplicy zamkowej. Figury te, odnowione, zdobią dzisiaj klatkę schodową mieszkania starosty. Kościół odrestaurowano w 1867 i dzisiaj znajduje on się w dosyć pomyślnym stanie.

A teraz rzucmy okiem na pozostałe dzisiaj pomniki, zapytajmy tych świadków sławy i tryumfów o ich przeszłość, przypatrzmy się ich wnętrzu. Jak dawniej wyglądały, a w jakim dzisiaj znajdują się stanie?

Historję zamku znamy już trochę na zewnątrz, jeśli się tak wyrazić można; obowiązkiem naszym jest teraz przypatrzeć mu się bliżej.

Wspaniałą niegdyś zamek — pisze Czotowski — ulubiona siedziba Jana III, zachował się dotąd w ogólnych zarysach, w trzech częściach zamieszkały, a czwarta stoi w ruinie. Leży w południowo-zachodniej stronie rynku, na płaszczyźnie. Przedstawia czteroskrzydłowy gmach, zbudowany z kamieni i cegły w czworobok, z takimże dziedzińcem wewnątrz. Długość jednego boku dochodzi 100 metrów. U każdego z czterech rogów wznoszą się dwupiętrowe, wysunięte baszty, zbudowane w kwadrat, z cegły czerwonej. Skrzydła tworzą piętrowe budynki, połączone z basztami przez korytarze beczkowato sklepione, wzdłuż muru wewnętrznego. Brama wjazdowa znajduje się od miasta, w środku skrzydła północno-zachodniego. Ozdobiona jest pilastrami, metopami i tympanonem, w którym na czerwonym marmurze

wykuty herb Żółkiewskich, Lubicz, po bokach zaś armatury. Podsień podjazdowa posiada dwa sklepienia beczkowo-krzyżowe, w dziedzińcu powyżej bramy wmurowana tablica spiżowa, na której napis łaciński w wypukłych złożonych literach. Nad bramą wznosi się czworoboczna trzypiętrowa wieża, opatrzona stromymi przyczółkami u szczytu. Skrzydło wspomniane wraz z wieżą zajmuje obecnie urząd starostwa i urząd podatkowy. W skrzydle północno-zachodnim mieści się sąd powiatowy i mieszka naczelnik, południowo-wschodnie zajęte częściowo na gimnazjum, reszta w ruinie. Oba ostatnie posiadają pośrodku wewnątrz klatkę schodową; wszystkie ubikacje parterowe są sklepione, obramienia okien i drzwi ciosowe, środkiem osi podłużnej ciągnie się korytarz, a po obu jego stronach komnaty. Baszta zachodnia, dawny cękhauz, zrujnowana do suterenu, których sklepienia podpira filar; baszta południowa bez dachu, popękana, grozi łada dzień ruiną; wschodnia ma wprawdzie nad sobą dach, lecz los jej będzie, niestety, wkrótce podobnym do losu, jaki czeka południową; północna znajduje się w lepszym nieco stanie, ale tylko dzięki temu, że ją przeznaczono... na więzienie.

Większą uwagę zwraca na siebie południowo-zachodnie skrzydło, po którego obu stronach ku basztom przylegają dwa małe dziedzińce, oddzielone od głównego murem. Tu na pierwszym piętrze mieściły się komnaty królewskie, obszerne i jasne, dziś niestety, znacznie zniszczone. Pokoje parterowe zachowane stosunkowo dosyć dobrze. Klatka schodowa naprzeciw bramy wjazdowej, zbudowana w kształcie logii na wysokich jońskich kolumnach, podpierających daszek, prowadzi do otwartej galerji wzdłuż całego frontu, skrzydła. Parter jej zdobił szereg toskańskich słupów, dźwigających arkadowanie, piętro zaś szereg jońskich, podpierających poziome belkowanie. Dziś z logji tej i galerji pozostały stałe tylko ślady ich istnienia, a pozostały rozebrane po okolicy, o czem już wyżej była mowa. Z galerji na prawo wchodziło się do małego salonu, prawdopodobnie służącego za poczekalnię, skąd na lewo — do obszernej sali 15 m. długiej, a 13 m. szerokiej. Sala ta zajmuje środek skrzydła przez całą



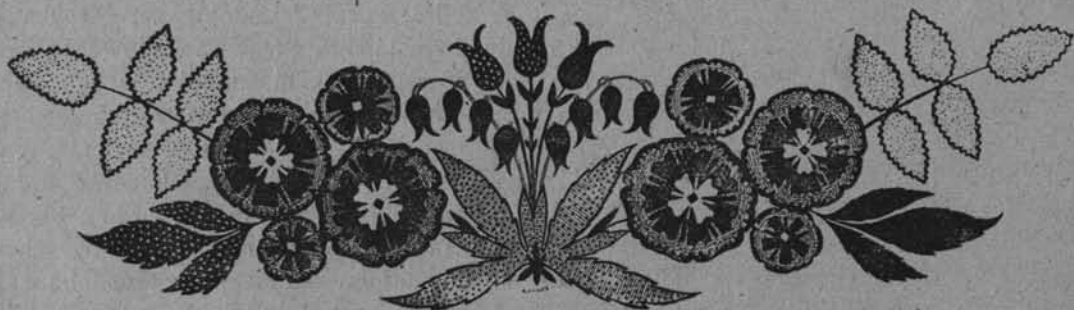
jego szerokość, posiada od strony dziedzińca i zewnątrz po 3 okna, większe od innych. Sala ta zwała się niegdyś hetmańską lub audjencjonalną. Dziś zupełnie zniszczona. Za salą hetmańską, ku południowemu wschodowi ciągną się dwie komnaty równej wielkości, za nimi dalsze dwie, połączone z sobą drzwiami. W salach tych alkowy przeznaczone były na łoża, zdobne u góry koroną królewską i herbami w gipsie. Obok nich, ku ścianie wewnętrznej małe komórki, z drugiej strony wejścia do korytarzyków, prowadzących do dalszych części zamku. Są to dawne sypialnie dziedziców zamku. Okna, drzwi, marmurowe kominki, posadzki powydzierane, sufity w znacznej części przegniłe, ozdoby poniszczone. Tu i owdzie sterczą jeszcze resztki sztukaterji na ścianach, gzymsów podsufitowych, malowideł i t. d., a wszystko przypomina świetne czasy Żółkiewskich, Sobieskich... Po drugiej stronie sali hetmańskiej ciągnie się druga, za nią większa, znowu przez całą szerokość gmachu, z kąd można się było dostać do kaplicy zamkowej, zbudowanej w dziedzińcu małym, w kształcie połowy ośmioboku, a dziś rozebranej prawie do gruntu. Między opisanym gmachem, a basztami narożnymi, znajdowały się dwie mniejsze, czworoboczne, wysokie na piętro baszty, występujące z muru na zewnątrz. Część południowa zachowana jeszcze dość dobrze, zachodnia w ruinie. Nad każdym z okien wryty po stronie zewnętrznej jakiś napis.

Pod całym zamkiem rozciągają się piwnice w dwu rzędach, dobrze jeszcze zachowane. Wśród dziedzińca studnia; sam dziedziniec dosyć zaniedbany. Od południowego zachodu

przytykał do zamku duży ogród, zwany zwierzyniecem, oddzielony odeń jeziorem. I z jednego i z drugiego dzisiaj pozostały zaledwie ślady. Zamek wchodził w obręb murów fortyfikacyjnych miasta, które przytykały do baszty północnej i wschodniej. Skrzydła zajęte przez urzędy są własnością rządową, inne — miasta. Zamek powstał równocześnie z miastem w pierwszych latach XVII wieku, o czym świadczy napis nad bramą wjazdową. Jan Sobieski rozszerzył go i upiększył przy pomocy mistrzów włoskich i francuskich, czyniąc zeń siedzibę, godną króla. Założony przez Sobieskiego ogród koło zamku wzbudzał podziw w cudzoziemcach. Przez cały ciąg panowania Jana III Żółkiew była właściwie stolicą Polski. Tu zjeżdżały się poselstwa zagraniczne, tu odbywały się narady, uroczyste przyjęcia, tu słowem — decydowano o losach Rzeczypospolitej. Z pięknego pałacyku letniego na Zaraju dziś nie pozostały i ślady nawet, ze wspaniałych alei modrzewiowych i lipowych dziś utrzymały się resztki. Dalsze losy Żółkwi i zamku są nam już znane.

Drugim, nie mniej wymownym świadkiem dawnych lepszych czasów, jest kościół parafjalny w Żółkwi. Fara żółkiewska, założona została przez Stanisława Żółkiewskiego, na wzgórzu, usypanem rękami bisurmanów w roku 1604. Styl włoski, kształt krzyża, o nader pięknych proporcjach, kopuła pośrodku. Od strony zewnętrznej mury tynkowane, u góry pod dachem zdobią je przedstawienia łuczników, armatury i t. p., wszystko wypukłe. Kościół robi wrażenie jakby twierdzy obronnej.

D. N.



ŻEGLUGA NA DNIESTRZE.

2)

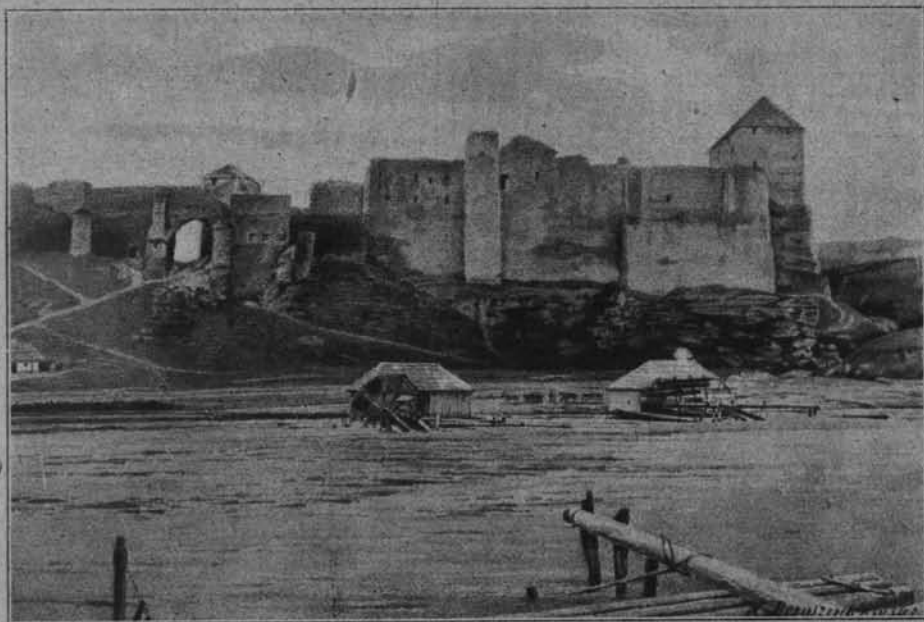
Wysłany do Chersonu p. Skapski czekał już tam, ale wieści przywiózł niepomyślne. Kapitan okrętu kompanji miał czekać w Akermanie 16 dni, z powodu zarazy po 4 dniach wrócił do Chersonu, a „że dla bojaźni powietrza kwarantanna jest ustanowiona w Chersonie, przeto zakaz jest od rządu, aby żaden okręt chersoński nie ważył się iść do Ocza-kowa ani Akermanu, w których to portach o zarażeniu słyszano, a zatem nie prędzej, jak za miesiący trzy okręt po pszenicę nie mógłby być wyprawiony.“ „W takowem niepomyślnych okoliczności połączeniu, cokolwiek z umartwienia ochłonawszy,“ musieli nasi kupcy szukać śpichrzów na złożenie ładunku, ale śpichlerze „budowane tylko na ziemi bez podłogi, bez powały, trzcina tylko poszyte, ściany z płotów lepionych gliną, stajniami ledwo w innym kraju nazwaćby się mogły, a do chlewów więcej, niż do śpichrzów podobne.“ A pszenicy miał Dzieduszycki 2.400 korcy, musieli więc aż trzy śpichrze wynająć, dali zadatki i sprowadzili czekające dalej galary. Fale dniestrzowe o mało nie pozatapiały płytkich galarów, kłopotu było co niemiarą, ale wreszcie śpichlerze wymieciono, przygotowano i wtedy właściciele śpichlerzy oświadczyli, że „mają zakaz od rządu swojego, ażeby pszenicy do swoich śpichlerzy nie przyjmowali.“ „Tak tedy wszystką pszenicę mając wyladowaną na brzeg, pod gołym niebem wystawioną na wszystkie odmiany powietrza, słoty i niebezpieczeństwo całkowitego zepsucia,“ poznał Dzieduszycki, że basza akermański będzie czynił wszelkie możliwe trudności kupcom.

Kupcy akermańscy pragnęli, aby znu-dzony szlachcic sprzedał ładunek na miejscu i starali się baszę do tego planu pozyskać. Dwukrotnie wszak pan brygadier Dzierżek ładunek pszenicy, dostawiony po Dniestrze, sprzedawał w Akermanie, ale Dzieduszycki nie tyle swój interes, ile sprawy Rzeczypospolitej miał na uwadze i nie chciał tworzyć prejudykatu, aby zboże polskie koniecznie w Akermanie miało być sprzedawane.

Odmowa sprzedaży rozdrażniła kupców. Stanowczy zamiar złożenia pszenicy w śpichlerzach wydawał się podejrzany: cóżby to być mogło? Odrazu odkryto polityczną intrygę: pewno to będzie magazyn żywnościowy dla wojsk rosyjskich. Dzieduszycki postanowił bądź co bądź ładunek wysłać na morze, a gdy okręt polski mógł dopiero za trzy miesiące przybyć, zdecydowano wynająć okręt turecki, których kilka stało w porcie.

Kapitanowie okrętów, zrozumiałwszy, że zacięty mazur musi statek wynająć, „obnieśli się ze sobą“ i postawili cenę za transport pięć razy większą od przyjętej zwykle. W tych kłopotach Dzieduszycki postanowił apelować do wyższej instancji, a mianowicie do seraskiera w Izmaile, przełożonego nad baszami całej prowincji. Ruszył znowu p. Skapski, aby uzyskać decyzję albo ładowania do śpichlerzy, albo ustalenia taksy na okręt. P. Skapskiego wyprzedził jednak Tatar, wysłany do seraskiera przez baszę. Seraskier panu Skapskiemu załatwił sprawę pomyślnie, wydał bowiem dyspozycję baszy akermańskiego, aby sam porozumiał się z kapitanami okrętów i ładunek potem powierzył najmniej żądającemu. Z ramienia baszy prezydował na przetargu miejscowy muzeim i ostatecznie jeden z kapitanów zdecydował się wziąć ładunek po 30 par od 66 ok, podczas gdy zwykle płacono się 12 par. Dzieduszycki zapłacił 500 lewów zadatku, dał swoich ludzi do wyrzucenia z okrętu piasku, stanowiącego balast, podniesiono na wynajętych okrętach bandery, co jest znakiem gotowości przyjmowania ładunku. Statki nadbrzeżne zaczęły przewozić pszenicę z brzegu na okręty, po rozpoczęciu ładowania dano 2 strzały armatnie, co jest znakiem rozpoczęcia ładunku. Dzieduszycki zacierał z zadowoleniem ręce, że już nareszcie mitrega się skończyła.

Gdy trzecia prawie część pszenicy już była naładowana na okręt, niespodzianie przychodzi decyzja baszy, aby okręt nie ważył się brać dalszego ładunku, a to, co jest już



fol. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

Zamek w Chocimiu nad Dniestrem.

Boga, anicesarza nie znają, że szalbierstwa baszy w Stambule za kryminał największy poczytane będą i sam śle do seraskiera gońca, że jeżeli mu nie dadzą ła dować pszenicy, tedy próżno do Stambułu okręt wróci, co wywoła gniew w stolicy. Po kilku dniach goniec wrócił z oświadczeniem seraskiera, że okręt próżny wracać nie może, musi

na statku, ma być z powrotem na brzeg odwiezione. Prerażony Dzieduszycki pędzi do baszy o wyjaśnienia, przyjmują go bardzo grzecznie i oświadczają, że zgłosił się kapitan, deklarujący niższą cenę przewozu, bo po 24 par za 66 ok, a więc o 6 par taniej od poprzedniego. Szlachcic zaklął srogo i oświadczył, że kontrakt zawarł, zadatek dał i pszenicy nie cofnie z okrętu. Basza się zgorszył niezmiernie i odparł, że wola seraskiera musi być wykonana, a przecież najwyraźniej dostojnik z Izmaïłu oświadczył, że ładunek ma być powierzony najtańszą ofertę składającemu kapitanowi.

Posłano znów gońca do Izmaïłu: czy seraskier pozwoli ładować dalej, czy stanowczo poleci przewóz najtańszemu. Goniec miał wrócić za trzy doby. A tu burza rozbiła jeden galar, kilkadziesiąt korcy pszenicy zamokło, a basza kazał kapitanowi zwrócić zadatek, owe 500 lewów, ten więc rozwiązał kontrakt, goniec od seraskiera nie wracał, mazur kłął siarczyście.

Na szczęście zjawił się w porcie nowy duży okręt turecki, którego kapitan, rodem z Dulzigno, chciał Dzieduszyckiemu pomóc. Z włoską wrzaskliwością objaśnia kapitan Achmet, że obywatele Akermanu są w upodleniu pomiędzy Turkami, „że to jest państwa tureckiego zakątek takowy, że ci ani

więc zabrać ładunek. Achmet, kapitan, posłał zaraz po okręt do Chodźibeju, wziął 400 lewów zadatku. Dzieduszycki znów zaciera ręce. Aliści rada przyboczna baszy orzeka, że wprowadzie seraskier zabronił wracać bez ładunku, ale też nie powiedział, że tym ładunkiem musi być koniecznie pszenica Dzieduszyckiego. Achmet, kapitan, poddał się decyzji, zadatek zwrócił, zatrzymawszy jednak 50 lewów na pamiątkę.

Upłynęło znów kilka niedziel, złote zboże podolskie leżało na piasku nad limanem, aż szlachcic zirytował się ostatecznie i postanowił jechać albo do Stambułu, albo też do kraju, zostawiając zboże pod dozorem paru ludzi. Na pożegnaniu basza, nader uprzejmy, pozwolił złożyć zboże do śpichlerzy, a Dzieduszyckiemu dał list polecający do swego kolegi z Bender. 16-go sierpnia, a więc po miesiącu bezczynności w Akermanie, ruszył z powrotem do Bender. Jassakiery, konduktor, radził, aby w nocy do miasta nie wjeżdżać i zatrzymać się pod miastem, zajęto więc stancję o ćwierć mili od Bender. Ledwo że się roztasowano na owej stancji, gdy usłyszano jęki i płacze w pobliskich domach. Dowiedziano się, że dookoła chaty, gdzie ulokowano podróżnych, cztery domy są nawiedzone powietrzem morowem, jakoż i z ludzi Dzieduszyckiego jeden tejże nocy zmarł.



Z powodu zarazy, która i w Benderach grasowała, szlachcic chciał ominąć miasto, co też skutecznił, gdy nagle doгнаło go kilku Turków, oświadczając, że basza benderski bardzo prosi, aby miasta nie opuszczali i baszę odwiedzili. Uprzejma ta prośba poparta była zabranie koni od podwód kupca. Wraca tedy wściekły szlagon do Bender, gdzie wiodą go do emira, a ten, przyjąwszy gości kawą i cybuchami, słodziutko oświadcza, że baszy jest niezmiernie

przykro, bo „przyjąwszy tak gościnnie pana, gdy jechał w tamtą stronę, nie przypuszczał, abyśmy, wracając, opuścili jego miasto, prosi nas więc uprzejmie o zatrzymanie się tu dni kilka“. Po godzinnych ekskuzach ze strony emira, wyznaczono Dzieduszyckiemu stancję, przy której postawiono zaraz janczarów, jako straż honorową, bardzo grzeczną, ale stanowczą, nie pozwalającą jednak nikomu na krok wyjść z obejścia.

(D. N.).



fol. K. Kulec.

Brzeg Dniestru pod Bakotą.





E. M.

ZMARLI KRAJOZNAWCY.

Ignacy Tadeusz Baranowski.

Długa i bolesna jest lista strat, jakie w ciągu ubiegłego pięciolecia poniosło nasze krajoznawstwo. A straty to szczególnie dotkliwe w chwili odradzania się Polski, gdy dokładne zbadanie kraju ojczystego, wszystkich jego dzielnic, bogactw naturalnych, stosunków narodowościowych i gospodarczych, staje się jedną z najpilniejszych potrzeb budzącej się do życia Rzeczypospolitej.

Jedno z pierwszych miejsc na tej liście należy się Ignacemu Tadeuszowi Baranowskiemu, historykowi, badaczowi dziejów stosunków gospodarczych w dawnej Polsce, zmarłemu w Warszawie w dniu 24 listopada 1917 roku w 38-ym roku życia. Plon jego pracy, przerwanej tak przedwcześnie — pozostał tem niemniej piękny i obfity. Obok tomu studjów z dziejów agrarnych Polski p. t. „Wieś i folwark“ ś. p. I. T. B. wydał m. in. opracowanie Prus Królewskich w zbiorowym dziele „Polska XVI w.“, a ostatnio przed zgonem ogłosił pracę: „Rzut oka na znaczenie Dniepru w dziejach gospodarczych Polski“. Ponadto zajmował się żywo przeszłością Warszawy i w tym zakresie wydał również parę pięknych opracowań. Od lat wielu był stałym i czynnym uczestnikiem prac, zogniskowanych w Pol. Towarz. Krajoznaw. W Ziemi od r. 1911 ogłosił cały szereg prac, przyczynków i recenzji, podpisanych własnem nazwiskiem lub też pseudonimem „I. T. Runo“. Ostatnio brał czynny udział w pracach komitetu redakcyjnego „Podręcznej bibliografii krajoznawczej“, oraz komitetu „Monografii Wisły“. Do tego ostatniego wydawnictwa przygotowywał studjum „Osadnictwo w dorzeczu Wisły od XVI w.“ — pracy tej jednak nie zdołał już wykonać. Odszedł od nas, pozostawiając po sobie żal głęboki i pamięć jak najlepszą.

Bronisław Chlebowski.

Zmarły 28 marca 1918 roku znany i ceniony powszechnie badacz i znawca literatury polskiej, Bronisław Chlebowski, zasłużył się

w sposób niezwykle piękny i na polu naszego krajoznawstwa. Jemu to w znacznym stopniu zawdzięcza swe istnienie pomnikowe zaiste wydawnictwo „Słownika Geograficznego ziem polskich“. Od samego początku należał do jego komitetu redakcyjnego wspólnie z Filipem Sulimierskim, inicjatorem i głównym kierownikiem, oraz Władysławem Walewskim, i sam zajął się odrazu w „Słowniku“ obszarem Królestwa Polskiego. Wydawnictwo, rozpoczęte w dniu 1 stycznia 1880 r. z planem zamknięcia całości w 5 tomach, rozrastało się stopniowo coraz bardziej. Gdy na początku 1885 r., w chwili rozpoczęcia druku tomu VI „Słownika“, zmarł Filip Sulimierski, cały ciężar wydawnictwa bierze na swoje barki ś. p. Chlebowski i ze współudziałem Józefa Krzywickiego doprowadza je w XIV-ym tomie do szczęśliwego końca. Było to w połowie 1897 r. Niemalą jeszcze pracę wypadło włożyć obu głównym redaktorom w przygotowanie do druku dwóch tomów „Suplementu“, który objął głównie nazwy miejscowości na litery A — M. w gub. wileńskiej, grodzieńskiej, mohilewskiej, witebskiej, kowieńskiej i wołyńskiej, opuszczone niemal zupełnie w głównym dziele z niemalą krzywdą dla całości. Dopiero w lutym 1904 r. redakcja podpisać mogła odezwe, zamykając ostatecznie całe wydawnictwo. Ta ćwierćwiekowa wyteżona praca, wykonywana przez Chlebowskiego w jedy-nych wolnych od zajęć nauczycielskich i literackich chwilach, daje mu na zawsze prawo do wdzięcznej pamięci w coraz to rozleglejszych — miejmy nadzieję — kołach krajoznawców polskich. W zrozumieniu tych zasług Pol. Tow. Kraj. mianowało go w r. 1901 swoim członkiem honorowym.

Bronisław Gustawicz.

Z zawodu nauczyciel szkół średnich, z zamiłowania krajoznawca, ś. p. Gustawicz nie mało przyczynił się do pogłębienia u nas znajomości kraju własnego, specjalnie zaś Podkarpacia i Beskidów Zachodnich. Był on nauczycielem gimnazjalnym w Krakowie,

później dyrektorem szkoły realnej w Żywcu. Od młodości interesował się żywo zagadnieniami krajoznawczymi i w licznych wędrówkach po powiatach galicyjskich, zwłaszcza po obszarze karpackim, miał sposobność zapoznać się bezpośrednio z najbardziej interesującym go terenem. Jedną z pierwszych prac jego była „Wycieczka w Czorsztyńskie” (Warsz. 1881). Niemal jednocześnie współpracować zaczął w „Słowniku Geograficznym”, do którego w ciągu szeregu lat nadesłał mnóstwo opisów i mografi, zarówno Żywiecczyzny, jak Spiszu i Orawy. Wydał on poza to cały szereg prac, studjów i przyczynków, m. in. „Zarys historyczny sposobów kreślenia kart geograficznych”, „O geograficznych towarzystwach w Finlandji”, „O towarzystwach i czasopismach geograficznych”, „O florze pienińskiej”, „Geograficzny zasięg łośia ongi i dzisiaj”. Główną jednak działalność rozwijał na polu kartografii szkolnej. Spolszczył prócz atlasów Kozenna i Haardta cały szereg map ściennych, sam zaś opracował mapę pow. chrzanowskiego oraz mapę Europy w drugiej połowie XVI w. W rękopisie pozostało po nim obszerne studjum „O zwyczajach ludowych”.

Aleksander Jelski.

Dnia 27 sierpnia 1916 r. zmarł w majątku swym, Zamościu, w pow. ihumeńskim gub. mińskiej, ś. p. Aleksander Jelski, zasłużony pisarz i obywatel. Był to przedstawiciel tego zanikającego już typu ziemian starej daty, przywiązanych najgorętszym uczuciem do swoich bliższych okolic, nie żałujących przytem żadnego wysiłku dla dobra sprawy ogólnej. Więc przedewszystkiem ś. p. Jelski starał się oddziaływać na swych sąsiadów, ziemian i włościan, w celu uobywatelenia ich i umoralnienia: świecił im własnym przykładem, działał jak mógł i umiał, pisywał wreszcie broszurki i całe książki na temat naprawy stanów wiejskich. Zajmował się następnie żywo rozwojem piśmiennictwa białoruskiego i zamieścił o niem m. in. cenne studjum w „Wiel. Encykl. Ilustr.” Sam również pisywał niemało dla ludu w narzeczu białoruskiem, tłumaczył nawet „Pana Tadeusza”. Jako krajoznawca, zasłużył się niemało opracowaniem dla „Słownika Geogr.”

wszystkich miejscowości, położonych w gub. mińskiej: dał on tam bezmała 10,000 opisów, opartych na głębszej, bezpośredniej znajomości przedmiotu. We dworze swoim w Zamościu zbierał zabytki przeszłości, bibliotekę i cenne archiwa. Żył lat 82.

Stanisław Karwowski.

Jednym z bardzo nielicznych pracowników na niwie krajoznawstwa polskiego w Wielkopolsce był zmarły 18 maja 1917 r. w Berlinie Stanisław Karwowski. Rodem z Leszna, syn oficera wojsk polskich, po uzyskaniu w r. 1870 w Halli stopnia doktora filozofji, pracować zaczął w zawodzie nauczycielskim, niestety, nie w kraju rodzinnym, ale w całkiem niemieckich Głupczycach na Śląsku. Dopiero w r. 1907, po uzyskaniu emerytury, osiadł na stałe w Poznaniu, gdzie pomimo poważnego już wieku rozwinął ożywioną działalność w rozmaitych dziedzinach życia społecznego i literackiego. Z długiego pocztu jego prac wymienić tu należy: „Rakoniewice” (Poznań 1882), „Grabów w ziemi Wieluńskiej” (Poznań 1890), „Gniezno” (Poznań 1892, str. 474), „Jankowo” (Poznań 1898), „Miasto Jarocin i jego dziedzice” (Poznań 1903), „Komandorja i kościół św. Jana Jerozolimskiego w Poznaniu” i inne. Pod pseudonimem Wiktora Sońskiego wydał wydał nadto w Bytomiu w latach 1895 — 99 dwutomową pracę: „Z przeszłości Śląska”. Przed samym zgonem wykończyć zdołał rękopis trzutomowego dzieła: „Wielkopolska w ostatnim stuleciu”, którego tom pierwszy ukazał się już w druku.

Wojciech Kętrzyński.

Znakomity badacz historii polskiej, Wojciech Kętrzyński, zmarły 16 stycznia 1918 r. we Lwowie, położył również ogromne zasługi na polu naszego krajoznawstwa. Urodzony w r. 1838 w Lecu na Mazowszu Pruskim, wychowany poniemiecku, dopiero podczas studjów na uniwersytecie królewieckim uczyć się zaczął po polsku, a już w roku 1872 wydał książeczkę: „O Mazurach”, w której pierwszy w naszej literaturze zwrócił uwagę na te zapomniane przez Boga i ludzi w Polsce swoje strony rodzinne. Wkrótce potem ogła-



szać zaczął dalsze, najcenniejsze niewątpliwie swoje prace, stanowiące owoc rozległych poszukiwań archiwalnych: „O narodowości polskiej w Prusiech zachodnich za czasów krzyżackich“ (1874), „Nazwy miejscowe polskie Prus Zachodnich, Wschodnich i Pomorza wraz z przezwiskami niemieckimi“ (1879) i wreszcie „O ludności polskiej w Prusiech niegdyś krzyżackich“ (1882). Ta ostatnia zwłaszcza praca pozostanie na długo podstawowym dziełem przy wszelkich studjach nad przeszłością naszej prowincji pruskiej. Ś. p. Kętrzyński od roku 1873 osiadł we Lwowie, gdzie został wkrótce kustoszem, a potem dyrektorem Zakładu narodowego im. Ossolińskich. Na stanowisku tem pozostał aż do zgonu, pracując wciąż w umiłowanym zawodzie historycznym i ogłaszając często cenne, choć drobne przyczynki naukowe.

Edmund Kołodziejczyk.

Nauczyciel gimnazjalny w Krakowie, autor cennej pracy: „Ludność polska na Górnych Węgrzech“ (Kraków 1910) oraz wielce pracowitej „Bibliografii słowianoznawstwa polskiego“ (Kraków 1911), czynny współorganizator Tow. Słowiańskiego w Krakowie, powołany po wybuchu wojny do szeregów austriackich, poległ w młodym wieku, mając lat zaledwie 28, nad Sanem d. 24 maja 1915 roku.

Tadeusz Korzon.

Zmarły 8 marca 1918 r. znakomity historyk, autor pomnikowej pracy o Kościuszcze, Tadeusz Korzon, był od lat wielu honorowym członkiem Pol. Tow. Kraj. Zaszczyt ten należał mu się słusznie, w łączności bowiem z pracami dziejopisarскими badał on starannie i te zagadnienia o typie raczej krajoznawczym, jak obszar Polski, jej zaludnienie w rozmaitych okresach historycznych, nie tylko dawniejszych, ale i nowszych i t. p. Cały pierwszy tom jego pięknych „Wewnętrznych dziejów Polski za Stanisława Augusta“ posiada nieocenioną wartość dla każdego badacza z zakresu statystyki naszego kraju. Sam rodem z Litwy, wychowany w rodzinnym Mińsku Litewskim, interesował się zawsze jaknajżywiej sprawami

wschodnich dzielnic Rzeczypospolitej. Napisał m. in. cenną rozprawkę: „Coś historycznego o Nowogródku“ oraz pogadankę historyczną „O Wołyniu“. Dzielami swemi wzniosł sobie zmarły historyk pomnik trwalszy od spiżu.

Konstanty Kościński.

Niestrudzony i gorliwy pracownik na polu krajoznawstwa prowincji ojczyznej, Prus Zachodnich czyli Królewskich, urodził się ś. p. Kościński w r. 1858 we Wlewsku w pow. brodnickim, czas jakiś pracował, jako urzędnik sądowy, w końcu jednak przerzucił się całkowicie na niwę literacką, wstąpił do redakcji „Dziennika Poznańskiego“, a w wolnych chwilach opracowywać zaczął opisy i monografie swoich stron rodzinnych. Ogłosił m. in. osobno: „Kaszubi giną, wiązanka wiadomości historycznych i statystycznych“ (1905), „Parafia borzyszkowska w powiecie człuchowskim“ (1905), „Franciszkanie i Bernardyni w Nowem na Wiśle“ (1906), „Przyczynki do historii ziemi Michałowskiej: miasto Lidzbark“ (1906), „Parafia kaszubska Konarzyny“ (1906), „Człuchów“ (1907) i t. d. W ostatnich latach był skarbnikiem Tow. Ludoznawczego w Poznaniu oraz sekretarzem wydziału hist.-liter. w tamtejszem Tow. Przyj. Nauk. Zmarł 14 lipca 1914 r. w Lidzbarku w Prusach Królewskich.

Gustaw Manteuffel.

Jeśli Inflanty Polskie żyją dotychczas w pamięci naszego ogółu — zawdzięczają to w znacznym stopniu zmarłemu w roku 1916 w Rydze Gustawowi Manteufflowi. Potomek spolszczonej rodziny niemieckiej, której przodkowie przybyli nad Dźwinę z Kawalerami Mieczowymi, urodzony w r. 1832 w Drycanach w pow. rzeżyckim — zrosł się on tak dalece ze swym krajem ojczyznym i z jego pięknymi a wciąż żywymi tradycjami polskimi, że stał się z czasem ich wytrawnym znawcą i zamiłowanym dziejopisem. Pierwsze jego prace poświęcone były etnografii ludu łotewskiego, sam nawet wydał w tym języku kilka książeczek. Z czasem przeszedł jednak głównie do badania przeszłości Inflant Polskich. Kapitałną jego pracą



sa „Inflanty Polskie“, pięknie wydane w Poznaniu w r. 1879. Z kolei wymienić należy: „Piltyń i archiwum piltyńskie“ (1889), „Lucyn w Inflantach“ (1884), „Kraśław“ (1901), „Przewodnik po Rydze i okolicach“ (1906), „Cywilizacja, literatura i sztuka w dawnej kolonii zachodniej nad Bałtykiem“ (1896) i w. in. Ponadto ś. p. M. był czynnym i gorliwym współpracownikiem w dziele swojej specjalności „Słownika Geograficznego“, „Wielkiej Encykl. Ilustrow.“ oraz naszej „Ziemi“ już od pierwszego jej numeru w roku 1910. Polskie Towarzystwo Krajoznawcze w uznaniu jego zasług mianowało go w r. 1911 swym członkiem honorowym.

Henryk Merczyng.

Niepospolitą z wielu względów indywidualnością był zmarły d. 1 listopada 1916 r. w Petersburgu w 56 roku życia ś. p. Henryk Merczyng. Z zawodu profesor fizyki i elektrotechniki w wyższych szkołach petersburskich, autor wielu cennych prac z zakresu tych właśnie dziedzin nauki, znajdował jednocześnie czas i możność pracowania również na niwie historii i demografii polskiej. Specjalnie interesował się dziejami reformacji w Polsce i na tem polu położył niemałe zasługi. Ale największy bodaj rozgłos pozyskała jego praca, wydana pod pseudonimem Edwarda Czyńskiego: „Etnograficzno-statystyczny zarys liczebności i rozszedlenia ludności polskiej“ (I wyd. w Warszawie 1887, II wyd. w r. 1909). Książka ta, nie wolna wprawdzie od błędów, zwłaszcza w zakresie obliczania ludności polskiej na Litwie i Rusi, ma jednak tę niewątpliwą zasługę, że była pierwszą u nas od szeregu lat próbą ujęcia w pewną całość naszych wiadomości o sile własnego narodu. Wywołała ona bądźco bądź w tej dziedzinie nauki ruch żywy i wielce pożyteczny. W r. 1913 wydał nadto pracę: „Mapa Litwy z r. 1613 ks. Radziwiłła Sierotki pod względem matematycznym i kartograficznym“.

Marjan Raciborski.

W poczet znakomitych krajoznawców polskich zaliczyć należy niewątpliwie zmarłego w dniu 24 marca 1917 r. w Zakopanem sławnego botanika, prof. Marjana Raciborskiego. Zajmował się on bowiem m. in. gorąco sprawą ochrony zabytków przyrody na ziemiach naszych. Spędził on szereg lat na wyspie Jawie, powołany tam już jako znany uczony przez dyrekcję tamtejszego sławnego na świat cały ogrodu botanicznego, do badań nad roślinnością zwrotnikową. Owocem tego pobytu, oprócz wielu prac specjalnych, była wydana z czasem w Warszawie piękna książka: „Wyspa Jawa“. Po powrocie do kraju objął ś. p. R. katedrę botaniki w akademii rolniczej w Dublanach, skąd po kilku latach przeniósł się na takież stanowisko do Lwowa, a w końcu do Krakowa, gdzie został jednocześnie dyrektorem ogrodu botanicznego. Kilka nader cennych prac z zakresu geografii roślin w Polsce ogłosił w pierwszym tomie „Encyklopedji Polskiej“, wydawanej przez Akademię Umiejętności.

Z A M K N I Ę C I E.

Na tych dwunastu nazwiskach nie kończy się bynajmniej, niestety, długa lista krajoznawców polskich, zmarłych w okresie wielkiej wojny. Wymienić tu należy przynajmniej jeszcze: Albina Fleszara, zmarłego w r. 1916 w Słonimie geografa i geologa, autora „Uwag nad krajobrazem poleskim“ (1916), dalej ks. Wład. Fudalewskiego, zamordowanego w roku 1918 przez bandytów w Bałtowie autora monografji o „Opatowie“ i „Kunowie nad Kamienną“ oraz prof. Antoniego Rehmana, wybitnego geografa, autora m. in. dwutomowej pracy: „Ziemie dawnej Polski“ (Lwów 1895 i 1904) zmarłego we Lwowie w r. 1917. Nie wymieniamy tu już nazwisk autorów drobniejszych rozpraw oraz tych uczonych, którzy tylko przygodnie zajmowali się krajoznawstwem. W przyszłym „Słowniku krajoznawców polskich“ znajdzie się dla nich wszystkich należne miejsce.





RÓWNE NA WOŁYNIU.



Dawny pałac ks. Lubomirskich w Rownem.

Jedno z najdawniejszych miast na Wołyniu, wymieniane w dokumentach już na początku XV wieku, w końcu tegoż wieku własność ks. Nieświckich, którzy wzniesli tu zamek i sami mianować się zaczęli ks. Rówieńskimi. Z kolei własność ks. Ostrogskich i w końcu Lubomirskich. Wspaniały pałac tu tejszy, przerobiony za panowania Stanisława Augusta z dawnego zamku, od połowy XIX w. stał pustką. Już podczas wojny ostatniej, w r. 1917 i pocz. 1918, stał się on siedzibą szkółki i ochrony polskiej. Miałoby stać się w ciągu paru ostatnich dziesiątków lat, od chwili zbudowania tu stacji węzłowej kolei z Warszawy do Kijowa, połączonej z linią poleśką do Sarn i Łunińca, — ważnym punktem handlowym, przemysłowym i strategicznym. Wojska polskie zdobyły Równe, w d. 13 sierpnia r. b.



PRZEGLĄDY LITERATURY KRAJOZNAWCZEJ.

I.

„Handbuch von Polen“ w oświetleniu krytyki naukowej polskiej.

Gdy po rozgromieniu Rosji Niemcy opanowali ostatecznie Królestwo Polskie, wówczas zauważyli ze zdumieniem, że kraj, którym przypadło im rządzić, jest im mniej znany, aniżeli Afryka Wschodnia. Mniej, mimo że jego stolica jest oddalona zaledwie o 500 km. od Berlina. Wina leżała oczywista nie w tem, jakoby to terytorjum stanowiło wogóle bia-

łą plamę na karcie Europy, ale wyłącznie w tej okoliczności — bynajmniej nie łagodzącej sprawy — że z wrodzonej sobie pogardy do języków słowiańskich, a zwłaszcza do języka polskiego, nie zdołali swego czasu przyswoić sobie bądźco bądź bogatej literatury polskiej, ani się z jej wynikami choćby zgrubsza zapoznać.

Nie mogli zaś polegać na swoim dorobku literackim, gdyż niemieckie rzeczy o Polsce były bez wartości, pisane pośpiesznie, często przez ludzi, którzy przebywali za krótki czas w kraju, ażeby się z nim jako tako zapoznać. Pisali zaś mimo to o Polsce



książki bardzo obszerne. Tak powstawała i powstaje do dziś dnia powodziowa wprost „Kriegsliteratur“ o Polsce, pisana często przez autorów, którzy z racji swego dłuższego pobytu w Czerniowcach albo we Wrocławiu rościli sobie pretensje do znajomości — Królestwa Polskiego. Nic przeto dziwnego, że musiały powstawać rzeczy pseudo-naukowe w rodzaju takim, jak „Kaukasische Studien im Kriegsgefangenen Lager in Eger“ i t. p. plody niemieckiej nauki.

Niemcy chcieli dowiedzieć się o Polsce czegoś pewnego. Nie pozostało im przeto nic innego do zrobienia, jak albo nauczyć się po polsku, albo wysłać do Królestwa ekspedycję naukową, któraby zebrała materiał potrzebny do gruntowniejszego znawstwa kraju, ekspedycję taką, jaką się wysyłało przed wojną do kraju Hererów lub Kamerunu. Obrali tę drogę ostatnią... Wyszedł więc rozkaz do p. pułkownika Helfritza, do p. majora Jahnna, ażeby utworzyć osobną komisję krajoznawczą celem zbierania Królestwa Polskiego. Komisja powstała bardzo szybko, bo odkomenderowano do niej licznych uczonych z wszystkich frontów, i pod bezpośrednią opieką władz wojskowych rozpoczęła swoje prace.

Wnet wszakże się pokazało, że bez jakiejś takiej znajomości pogardzanej dotychczas i nieznanej literatury polskiej kroku naprzód ruszyć nie można. Aby sobie tę literaturę przyswoić, założono specjalne biuro tłumaczeń, które wlot każdą rzecz polską na niemieckie tłumaczyło. Łatwo sobie wyobrazić, jak wyglądały te często przez laików wykonywane tłumaczenia. Pozatem zbierał każdy z członków komisji na własną rękę materiał naukowy, przyczem nie obeszło się bez pomocy wymienionych później z wdzięcznością autochtonów.

Ale zależnie od stopnia przygotowania i od stopnia opanowania literatury naukowej polskiej jedni z współpracowników komisji zachowywali się jak w kraju dzikim i zupełnie nieznanym, drudzy natomiast uznawali wprawdzie zwycięstwo nasze, ale omal że z góry przesądzali ich wartość i zajmowali wobec nich stanowisko opozycyjne, jeszcze inni, ale tych było zaledwie kilku, ocenili w całej pełni i sprawiedliwie nasz dorobek naukowy w danej gałęzi wiedzy i umieli zeń korzystać, ale nie potrafili pozbyć się pewnego kąta widzenia, pod którym na najbardziej nawet naukowe zjawiska patrzyli.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że członkowie niemieckiej komisji krajoznawczej przystępowali do dzieła nie tylko z dobrze opracowanym planem, ale również z pewną tendencją. Tendencja zaś jest wogóle szkodliwa, a w naukowej pracy wprost zabójcza. Nie dziw, że się srodze na niemieckich uczonych zemściła. Tendencyjnie i z całą świadomością starała się nasamprzód komisja, mimo licznych zastrzeżeń, przemycić wyraz Polska na oznaczenie tylko Królestwa Polskiego. Sprawa ta wywołała, jak wiadomo, żywy protest ze strony uczonych polskich, który to protest został jednak przez świat naukowy niemiecki, jakoteż przez prasę niemiecką tendencyjnie przemilczany.

Dopiero nieco później ruszyło sumienie niemieckich naukowców i wydawców... To też w II wydaniu

dali już dostatecznie — ich zdaniem — skorygowany tytuł „Handbuch von Polen“ (Kongress-Polen). Poszły również potem pewne poprawki nomenklatury w tekście.

Następnie starają się członkowie komisji udowodnić, że Królestwo i wogóle Polska nie jest żadną indywidualnością geograficzną, że jednak w dziwny sposób zachodnie i wschodnie granice Królestwa odrzynają się w przyrodzie kraju od krajów sąsiednich, wreszcie wszystkim, cokolwiek w kraju jest ważniejszego, to zrobili obcy. Polska to kraj pod każdym względem bierny. Najgorzej na tej tendencyjności wyszli badacze grupy pierwszej, gdyż ci, odkrywając jeszcze raz rzeczy od dawien dawna znane i dodawszy do tego „odkrycia“ na wskroś oryginalne, zdobyli sobie „nieśmiertelną“ sławę nie tylko w swojej, ale i w naszej polskiej ojczyźnie.

Po dwóch latach pracy ukazało się dzieło. Przynać należy bestronnie, wydane pod względem zewnętrznym bez zarzutu. Przewyższa też, co się strony zewnętrznej i układu tyczy, analogiczne wydawnictwo Akademii Umiejętności w Krakowie. Publiczność polska zaczęła patrzeć na „Handbuch von Polen“ z pewną zazdrością, a może nawet z pewnym żalem do nauki naszej. Nauka polska przyjęła je spokojnie. Z doświadczenia bowiem mogła przypuszczać, że dzieł gruntownych nie tworzy się na rozkaz i z dziś na jutro. Te przypuszczenia okazały się też niebawem słusznymi.

Pojawiła się bowiem niedawno naukowa recenzja „Handbuch von Polen“, wydanie I, przygotowana staraniem Polskiego Towarzystwa przyrodników im. Kopernika we Lwowie, a opublikowana w organie tegoż Towarzystwa, w „Kosmosie“ (rocznik 1917). Odpowiedni fachowcy wypowiedzieli o każdym z artykułów, umieszczonych w „Handbuchu“, swój sąd. Posłuchajmy ich po kolei, tak jak zostały ogłoszone.

Artykuł M. Friederichsena p. t. „Die Entwicklung der Landeskundlichen Kenntnis“, omówił obszernie niżej podpisany i w konkluzji tak rzecz zakończył: „To co Friederichsen nazwał „Rozwojem krajoznawstwa“ nie jest niczem innym, jak rozumowaną, dość skromną bibliografią. Autor nie uchwycił idei przewodnich krajoznawstwa polskiego, ani nie odmalował jego charakteru w różnych epokach. Co się zaś z istoty rzeczy narzucało, nie porównał stanu i rozwoju krajoznawstwa polskiego z krajoznawstwem obcym n. p. niemieckiem. Jedyne wnioski natury ogólnej, że od drugiej połowy 18 stulecia zmniejsza się udział Polaków w badaniach nad Polską a zwiększa się udział obcych, posiada wartość względną i tylko o tyle jest słuszny, o ile chodzi o ogólną geografję ziem polskich, a nie o studia szczegółowe. Słuszną jest natomiast uwaga autora, iż ucisk polityczny ze strony Rosji wpłynął ujemnie na rozwój geografji polskiej. Analogiczne zjawisko obserwować można w Poznańskim, gdzie po roku 1870 zniknął prawie zupełnie udział tamtejszych Polaków w geograficznych badaniach nad Polską...“

W krótkim tylko zarysie omówiono krytycznie artykuł Friederichsena, nie poprzestając bynajmniej na zajęciu negatywnego stanowiska, lecz



starając się oświecić rzecz pozytywnie. Rzecz jasna, iż co do ostatniego punktu nie powiedziano jeszcze wszystkiego. Krajoznawstwo polskie bowiem posiada dziedzinę tak obszerną, że ogarnąć ją nie jest rzeczą łatwą. W każdym razie nie podobna tego uczynić w artykule, który jak Friederichsen, nosi na sobie wszelkie cechy rzeczy pisanej pośpiesznie i bez należytego przygotowania i opanowania materiału. Dlatego nie sądzę, ażeby czytelnik obcy i nieobeznany z istotnym stanem rzeczy mógł być przez ten artykuł dostatecznie poinformowany o rozwoju i stanie krajoznawstwa polskiego. Przeciwnie nabierze niewątpliwie mylnego wyobrażenia, że krajoznawstwo polskie ogranicza się do kilkudziesięciu zaledwie nazwisk — resztę stanowią obcy, — żadnych nie reprezentuje idei i kierunków rozwoju i dopiero w ostatnich czasach wykazuje większą żywotność. Mylnie będą wnioski czytelnika, bo niewłaściwe jest przedstawienie. Friederichsen dał bowiem tylko niewyczerpującą rzecz bibliografię, a nie przedstawił rozwoju krajoznawstwa polskiego, jak to sobie założył w tytule.

Poważny i najstaranniej może ze wszystkich opracowany artykuł R. Michaela: „Geologisches Aufbau“ omówiło aż dwóch polskich badaczy. J. Siemiradzki zajął się wyłącznie częścią stratygraficzną, podczas gdy W. Teisseyre ocenił poglądy autora na tektonikę badanego terenu.

Po dokładnem zreferowaniu treści rozdziału Siemiradzki przyznaje, iż jest to rzeczowe zestawienie wyników badań geologicznych, dokonanych w Polsce przez dotychczasowych badaczy, zwłaszcza przez Siemiradzkiego, Michalskiego, Czarnockiego, Lewińskiego i in. Fachowy jednak czytelnik polski nie znajdzie tam wiele rzeczy nowych, z wyjątkiem jedynie obserwacji autora w obrębie górno-śląskiego zagłębia węglowego, którego Michael jest znawcą doskonałym.

Gorzej wypadł sąd Teisseyre'a o tektonice. Michael zamało spożytkował — zdaniem naszego uczonego — odnośną literaturę z sąsiednich obszarów Małopolski, co było wprost koniecznem, ażeby owe zjawiska tektoniki wyjaśnić. Odnosi się to zwłaszcza do głównych linii dyzlokacyjnych na obszarze wyżyny Małopolskiej, których autor nie stara się pogodzić z tektoniką przedmurza Karpat. Także definicja wyżyny Małopolskiej, jako schodu a nie jako zrębu (horstu), nie da się utrzymać. Naogół zaś stosunki wschodnio-europejskiej pokrywy mezozoicznej nie zostały ani przez Michaela ani przez Wunderlicha (morfologa komisji) należycie uwzględnione.

Ustęp, napisany przez znanego botanika, F. Paxa, p. t. „Die Pflanzenwelt Polens“ omówił W. Szafer. Wytknąwszy na początku tendencję identyfikowania Królestwa Polskiego z Polską, Szafer przyznaje, iż jakkolwiek Pax ocenił obiektywnie zasługi polskich botaników nad florystycznym zbadaaniem Polski, nie uchwycił jednak istotnej strony rozwoju polskiej florystyki, która polegała nie na zorganizowanej przez społeczeństwo ekspansji nauko-

wej, lecz na ofiarnych wysiłkach jednostek. W dalszych wywodach Szafer zwraca uwagę na błędne wykreślenie przez Paxa linii buka i bluszczu i zwłaszcza jego pogląd, jakoby wschodnie granice Królestwa miały być jakąś ważną graniczną linią florystyczną, uzasadnioną prócz tego względami klimatycznymi lub geologicznymi.

Wytknąwszy w końcu pewne usterki rzeczowe co do formacji roślinnych, kończy wnioskiem, iż praca Paxa „daje jasny i zwięzły przegląd zagadnień współczesnej geo-botaniki polskiej i przyczyni się niewątpliwie do rozszerzenia u obcych wiadomości o przyrodzie polskiej. Polak nie znajdzie tutaj jednak nic nowego, czego by już w literaturze naukowej polskiej nie było“.

Krótką treść ustępu Paxa F. Jun. p. t. „Die Tierwelt“ podał J. Łomnicki, przyczem z naciskiem podkreślił, jak to wykrojenie z całej Polski pewnej tylko części zaciera przejrzystość obrazów i głównych linii naszej fauny. Także wydzielenie mniejszych jednostek faunistycznych na obszarze Królestwa i zoograficzne rozczłonkowanie kraju, jakkolwiek skądinąd uważane być musi za objaw dodatni, nie może jednak z różnych względów mieć trwałego znaczenia. Następuje potem szereg krytycznych uwag co do niedokładności w korzystaniu z podanej literatury odnośnie do rozmieszczenia zwierząt a zwłaszcza odnośnie do przesadnych nieraz tendencji w uchwyceniu pewnych charakterystycznych cech naszej fauny.

Ustęp A. Schultza p. t. „Die Volkskunde“ należy niewątpliwie do najsłabszych w książce. Jak to bowiem wynika z oceny J. St. Bystronia, nie przynosi on nie tylko nic nowego, ale nie ma nawet wartości artykułu popularnego, wykazuje nadto znaczne braki w rzeczach najbardziej podstawowych, przedstawia rzeczy te czasami najfałszywiej i z pewną intencją polityczną, a metodycznie poprzestaje wyłącznie na opisie.

Tu następuje szereg kapitalnych wprost przykładów ignoracji Schultza, jak jego podział Polaków na pewne grupy i podgrupy etniczne — jako to Ślązaków, Poznańczyków, Mazurów i t. p. wszystko według granic politycznych, albo policzenie ziem wielkopolskich Królestwa do... Mazowsza, albo z gruntu fałszywe dane co do rozmieszczenia tych grup, albo jeszcze bezwartościowa charakterystyka owych grup, albo w końcu klasyczne pomysły i domysły oraz wyjaśnienia z dziedziny naszej mitologii i z zakresu obrzędów i obyczajów ludowych, co wszystko — jak się wyraża recenzent — przypomina wypracowanie ośmioletniego Hansa w szkole początkowej w „Hohensalza“ albo w innem praniemieckim mieście na temat „Das Erntefest bei den Wasserpölen“.

Do samodzielnych odkryć Schultza należy zaliczyć wiadomość, że Mickiewicz pisał po... suwalsku, a jako przykład zupełnego braku już nie opanowania metod, ale braku przygotowania naukowego, posłużyć może mieszanie pojęć i cech etnicznych z antropologicznymi.

W konkluzji Bystron pisze o pracy Schultza: „Szkoda pisać dłużej! Sąd nasz i tak jest już

jasny: nieznanostwo materiału polskiego, zupełne zlekceważenie i pominięcie literatury polskiej (przytoczonej niewiadomo po co w bibliografii), rażące braki wykształcenia metodycznego, powzięte z góry założenia polityczne, oto zasadnicze cechy pracy. Rzecz to zatem, w końcowej ocenie, zupełnie bezwartościowa.

Następuje potem ocena pracy K. Esden-Tempskiego: „Die Landwirtschaft“, napisana przez niedawno zmarłego dyrektora Akademii rolniczej w Dublanach K. Miczyńskiego. Referent przyznaje, iż praca E. Tempskiego trzymająca się w tonie obiektywnym, ale z powodu szczupłości miejsca jest za pobieżna i nie daje wyraźnego pojęcia o rolnictwie Królestwa. Nie oddaje ona prawdziwej fizjognomii rolniczej poszczególnych typowych okolic Polski, lecz odtwarza jakiś mglisty, abstrakcyjny obraz całości w zarysach najogólniejszych. O kwestii robotniczej, o szkolnictwie rolniczym (niższym), o organizacji doświadczeń, o prasie i literaturze rolniczej nie znajdujemy prawie nic. „Pracę nie można było mniej napisać o rolnictwie polskim dla publiczności obcej!“

Krótkie w stosunku do ogromu tematów poruszanych rozdziały p. Michała R.: „Bergbau und Hüttenwesen“ i p. Działyasa H.: „Industrie“ zreferował J. Czarnocki.

Michaelowi wytyka przede wszystkim zupełnie błędne i tendencyjne przedstawienie powstania i dalszych dziejów naszego górnictwa. Błędy te referent prostuje i to nawet na podstawie tak dostępnego u nas źródła, jakim jest Słownik Geograficzny. O ile już praca Michała zmierzająca do tego, ażeby wykazać, iż kopalnictwo Królestwa to zasługa niemiecka, to praca Działyasa zaszła w tym kierunku jeszcze dalej. „Najslabszą stroną tego rozdziału — pisze Czarnocki o pracy Działyasa — jest jego część historyczna. Autor, jakkolwiek posilował się bodaj wszystkimi bardziej znanymi pracami o przemyśle naszym, o czym zdawałby się świadczyć wykaz literatury, to jednak pozbawił swą pracę, szczególnie tam, gdzie mówi o historii, jakiegokolwiek wartości naukowej, więcej nawet, przekręcając fakty historyczne i dowolnie je segregując, dał nam zupełną improwizację, w której niewiadomo, co więcej podziwiać, czy naiwność czy ignorancję.“

I tu przykłady... n. p. gołosłowne wnioski co do początków przemysłu w Łodzi, kompletne przemilczenie zasług rządu polskiego na polu budowy przemysłu rodzimego, podnoszenie pod niebiosa zasług Niemców, poprawki historyczne co do postanowień, znoszących cechy w Polsce lub rzekomo ograniczających swobodę miast na prawie niemieckim i t. d. Tendencję zacierać za każdą cenę zasług rządu polskiego na polu przemysłu polskiego posunął Działyas tak daleko, iż krótko zdecydował, że przemysł w Polsce jest wyłącznie wytworem działalności Niemców i polityki rządu rosyjskiego.

Czarnocki na wielu wypadkach i przykładach wykazuje zasadniczy błąd tej tezy. Podnosi również z naciskiem liczne rażące błędy w charak-

teryście i przedstawieniu stanu naszego przemysłu w okresie przedwojennym i odmawia także i tej części pracy wogóle wartości naukowej.

Tak wypadł sąd nauki polskiej o głośno reklamowanym dziele... nauki niemieckiej. Nie objęto tą krytyką prac wszystkich współpracowników, gdyż II część oceny wyjdzie zapewne później. Ale już ocena tych ośmiu prac (wszystkich jest 14) pozwala wysnuć znamienne wprost wnioski o wartości całego dzieła. Przebiega się w tej zbiorowej wojennej pracy uczonych niemieckich pośpiech, brak należytego obeznania się z przedmiotem badania, niewyzyskanie literatury, a u niektórych autorów razi nawet brak przygotowania metodycznego. Nadewszystko zaś uderza wroga nam tendencja, poniżenie wszystkiego, co polskie. Wprost nie do wiary, jak mało obiektywności mają uczeni niemieccy, jakie miękkie mają karki i jak nawet w naukach — zdawałoby się — nic z polityką nie mających wspólnego, potrafia być badaczami stronnictwami i tendencyjnymi. „Handbuch von Polen“ pozostanie na zawsze haniebnym pomnikiem hakatyizmu naukowego, uprawianego z całą bezwzględnością przez uczonych niemieckich w stosunku do Polski i do Polaków.

A wartość naukowa dzieła? Zdaje się, że nie może być sądu bardziej ujemnego i ostrzejszego o jakimś zbiorowym dziele, jak gdy się odmówi przeszło połowie jego rozdziałów wszelkiej wartości naukowej. A przecież sąd taki wydało o pracach Friederichsena, Schultza, E. Tempskiego, Działyasa. Wiadomo zaś skądinąd, że poważne wątpliwości budzą u geografów śmiałe hipotezy morfogenetyczne Wunderlicha i opracowania klimatologiczne Kötzera a kompletną mizerją odznaczają się antropogeograficzne dociekania Praesenta.

Naogół zatem na wielką skalę zakrojone wydawnictwo „Handbuch von Polen“ nie spełni nadziei w niem pokładanych, bo czytelnika niemieckiego informuje fałszywie o tem, czem jest Królestwo Polskie, pomijając już, że dla naukowca naszego nie przynosi, prócz wielce oryginalnych pomysłów i odkryć autorów, nic nowego. Najciekawsze, iż autorowie sami czują niejako, iż w swych pracach wiele powiedzieli rzeczy niewłaściwych i niedostatecznie pomyślnych, skoro w licznych „Beiträge“ — przyczynkach do dzieła, wydawanych później, uzupełniają no i... poprawiają to, co tam jest pobałamucone.

Przyznajemy, iż organizacja i technika wydawnictwa godna jest ze wszech miar naśladownictwa, zwłaszcza, że my jeszcze ciągle kulejemy na polu publikacji wydawnictw zbiorowych i nie umiemy rzeczy tych urządzać szybko i sprawnie. Ale za to na naszą pociechę powiedzieć można co innego.

Oto z każdej prawie karty niemieckiego dzieła bije ten fakt, iż mimo i wśród najcięższych i najgorszych warunków pracowaliśmy i pracujemy nad krajoznawstwem Polski rzetelnie i ze skutkiem.

Stanisław Pawłowski.

Ze stowarzyszeń.

— Obszerne sprawozdanie z działalności Pol. Tow. Kraj. za ubiegłe pięciolecie zamieścimy w zeszycie następnym.

— Powstało niedawno w Warszawie pierwsze na naszych ziemiach Polskie Towarzystwo Geograficzne. Zebranie organizacyjne odbyło się 27 stycznia 1918 r. i powołało zarząd w osobach pp.: Jana Lewińskiego (prezesa), Wład. Gorczyńskiego (zast. prezesa), Bol. Olszewicza (sekretarza), Stan. Poniatowskiego (skarbnika) oraz Stan. Lencewicza i Ant. Sujkowskiego (członków zarządu). Praca P. T. G. w r. ub. polegała przedewszystkiem na organizacji. Utworzono dotychczas cztery komisje: geografji historycznej (przew. p. W. Kamieniecki), do spraw nauczania geografji (przew. p. P. Sosnowski), kartograficzną (przew. p. J. Krassowski) i odczytową (przew. p. J. Loth). Tow. liczy już z górą 150 członków. Rozpoczęło ono wydawnictwo Przeglądu Geograficznego i zorganizowało cały szereg posiedzeń, na których wygłaszane były referaty.

— D. 16 czerwca r. b. zawiązane zostało w Wilnie Tow. Miłośników Wilna. Do zarządu powołani zostali pp.: F. Ruszczyk, M. Brensztejn, ks. Chomski, Wacł. Studnicki, Krasnopolski, Kotwiczowa i Tupalski.

oooooooooooo

Z piśmiennictwa.

— Zawiązane w r. z. w Warszawie Polskie Towarzystwo Geograficzne, o którym na innym miejscu piszemy obszerniej, powołało już do życia własny organ p. n. Przegląd Geograficzny, którego pierwszy zeszyt podwójny ukazał się w marcu r. b. Znajdujemy tu w dziale naukowym prace: „Zakłady państwowe, a geografia ojczysta” p. L. Sawickiego, „O niektórych cechach charakterystycznych klimatu Polski” p. Wł. Gorczyńskiego, „W sprawie morfologii dna mórz głębokich” p. J. Smoleńskiego, „Geografia roślin a językoznawstwo” p. J. Rostafińskiego i „Etnograficzne rozmieszczenie i rozgraniczenie rodów górali polskich” p. S. Udziela. Ponadto zamieszczone tu zostały: notatki naukowe pp. B. Sławomirskiego, S. Pawłowskiego, S. Lencewicza i B. Olszewicza, oraz w końcu działy: sprawozdań, kroniki geograficznej i spraw Pol. Tow. Geogr. Redaktorem wydawnictwa jest prof. Ludomir Sawicki. Ze względu na trudności, związane z chwilą obecną, Przegląd ukazywać się będzie narazie w luźnych zeszytach i dopiero z czasem zamieniony ma być na czasopismo, wychodzące w odstępach dwu lub trzymiesięcznych.

— Pomimo „braku środków materialnych i wypadków wojennych” kwartalnik etnograficzny Lud dzięki energii zarządu Tow. Ludoznawczego we Lwowie, którego jest organem, nie tylko nie upadł podczas wojny, ale ma być bezwarunkowo i nadal wydawany. W czasie wojny, już w r. 1915. ukazał

się tom XIX wydawnictwa za r. 1913, zaś w roku bieżącym wyszedł z pod prasy tom XX za lata 1914—1918. Zeszyt ten, redagowany przez d-ra Adama Fischera, składano i drukowano w czasie bombardowania Lwowa od stycznia do marca r. b. Zawiera on rozprawy następujące: „Gadki z Inwałdu w okolicy Andrychowa p. Sz. Goneta, „Podania o bohaterach” p. Z. Lempickiego, „Stan włościański w utworach poetyckich pisarzy polskich doby renesansowej” p. W. Nartowskiego, „Stosunki narodowościowo-wyznaniowe w djecezi podlaskiej w roku 1863” p. K. Sochaniewicza i „Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XV i XVI wieku” p. Wł. Szyszkowskiego, w końcu zaś notatki etnograficzne, recenzje i sprawozdania oraz sprawozdanie z czynności zarządu Tow. Ludoznawczego we Lwowie za lata 1911—1918. Niniejszy tom Ludu zawdzięcza swe wyjście subwencji Kasy im. Mianowskiego, przyznanej członkowi komitetu redakcyjnego, prof. Janowi Czekańskiemu.

— Staraniem zorganizowanego w Warszawie w roku 1915 Grona Miłośników Ludoznawstwa Polskiego a z częściowej zapomogi Kasy im. Mianowskiego wydane zostały w r. 1917 dwa zeszyty Wisły, czasopisma—jak czytamy na okładce—poświęconego krajoznawstwu i ludoznawstwu. Na treść zeszytu II-go złożyły się prace następujące: „Podania mityczne dziejów polskich w poświeceniu wiaroznawstwa porównawczego i obrzędów ludowych” p. W. Trojanowskiego, „Polski wątek dynastyczny” p. A. Czubryńskiego, „Tabu u ludu naszego” p. M. Wawrzeckiego, „Garncearstwo w zapadłych kątach puszczy białowieskiej” p. S. Jagmina, oraz „Węzeł” i „Tyka” p. M. Wawrzeckiego,—nadto zaś: drobniaki, poszukiwania oraz sprawozdania i wspomnienia pośmiertne.

oooooooooooo

W dziale poniższym zamierzamy omówić kolejno cały szereg książek krajoznawczych, wydanych w ciągu pięciu lat ostatnich. Zwracamy się też niniejszem do Autorów i Wydawców z prośbą o nadsyłanie swoich nakładów.

Oceny i sprawozdania.

Wydawnictwa Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

Pomimo najtrudniejszych warunków czasu wojennego, pomimo dokuczliwych cenzur specjalnych, zrazu rosyjskiej, potem niemieckiej, pomimo idących w górę w sposób nieobliczalny kosztów papieru i druku, P. T. Kraj. wypuściło w świat własnym nakładem w ubiegłym pięcioleciu cały szereg książek i książeczek, mających na celu, jak i cała działalność P. T. K., pogłębienie wśród szerokiego ogółu znajo-

mości własnego kraju. Nie wchodząc — dla zrozumiałych względów — w ocenę wartości naukowej i literackiej tych nakładów, podajemy poniżej wykaz ich wraz z największym zaznaczeniem treści.

Więc przede wszystkim zaznaczyć należy, iż świeżo ukazała się w drugim wydaniu praca zbiorowa: „Metodyka wycieczek krajoznawczych”. O organizacji wycieczek pisze tu p. K. Kulwiec, o geologii p. S. Kontkiewicz, o florystyce dr. J. Trzebiński, o faunistyce p. K. Czerwiński, o antropologii p. K. Stołyhwo, o ludoznawstwie p. A. Janowski, o folklorze również p. A. Janowski, o archeologii przedhistorycznej p. M. Wawrzeniecki, o naszych zabytkach architektury p. K. Rakowiecki, o fotografii i rysunku na wycieczce p. M. Wisznicki i wreszcie o higienie wycieczek i ratownictwie dr. T. Korzon.

Również w drugim wydaniu ukazała się w ostatnim miesiącu „Geografia Polski w dawnych granicach” prof. Pawła Sosnowskiego. Pierwszy jej nakład, również obficie i starannie ilustrowany, rozszedł się zupełnie w ciągu roku. Jest to podręcznik szkolny, mogący być bardzo pożyteczny i dla ogółu naszej inteligencji. Tęgoż autora „Karpaty” — obraz geograficzny z 16 rysunkami i 4 mapkami, wydany został w r. z.

W dwóch wydaniach wyszły także podczas wojny „Pogadanki krajoznawcze” p. Al. Janowskiego. Przeznaczona dla niższych klas szkół średnich oraz średnich oddziałów szkół początkowych, książka ta zawiera 30 zajmujących pogadanek o ziemiach polskich, o zamieszkujących je ludzie i o ich bogactwach naturalnych. Liczne dobre ilustracje uprzystępniają zrozumienie treści. Ten sam charakter mają tęgoż autora pogadanki krajoznawcze o Warszawie, zatytułowane: „Duch Warszawy”, również ozdobione ilustracjami.

Warszawie specjalnie poświęcony został opracowany przez p. St. Thugutta „Zwizły przewodnik po Warszawie i okolicach” — z ilustracjami i planem miasta. Tęgoż autora „Przewodnik po Królestwie Polskiem, część I. Kieleckie i Radomskie” (wydane w r. 1915 przez P. T. K. z funduszu Andrzeja Rotwanda) zawiera szczegółowy opis wskazanych okolic, dokonany przed samą wojną. Zmiany, spowodowane przez wojnę, osłabiły nieco wartość praktyczną tego przewodnika, zwiększyły natomiast jego wartość historyczną: w pożodze wojny zginęło bowiem bezpowrotnie wiele opisanych tu pomników dziejowych i zabytków sztuki. Pan St. Thugutt jest również

autorem wydanej powtórnie w r. 1915 przez P. T. K. rozprawki statystycznej: „Polska i Polacy. Ilość i rozsiadlenie ludności polskiej” (z mapą).

Staraniem Sekcji miłośników Warszawy przy P. T. K. ukazywać się zaczęła od r. 1916 biblioteczka, poświęcona opisom naszej stolicy, jej dziejów, gmachów i zabytków. Dotychczas ukazało się 7 książeczek: „Położenie geograficzne Warszawy” p. Al. Janowskiego, „Warszawa i jej okolice w czasach przedhistorycznych” p. R. Jakimowicza, Warszawa za książąt mazowieckich i Jagiellonów” p. M. Barucha, „Zabytki artystyczne Warszawy” p. W. Trojanowskiego, „Warszawa w czasach saskich” p. K. Konarskiego, „Warszawa za Stanisława Augusta” p. Ign. Baranowskiego oraz „Dawne gmachy i sale teatralne w Warszawie” p. M. Rulikowskiego.

Przed samą wojną ukazał się — wysoce dziś aktualny — „Przewodnik po Gdańsku i okolicy” (z planem miasta i mapką okolicy) opracowany przez znanego badacza dziejów sztuki gdańskiej, ks. d-ra Tadeusza Kruszyńskiego.

P. Boł. Olszewicz rozpoczął pracę nad „Historją krajoznawstwa polskiego w zarysie”. Pierwszy zeszyt tego wydawnictwa, obejmujący 2 arkusze druku, ukazał się w początkach 1917 r. Całość ma objąć 10 arkuszy, ukaże się zapewne już w czasie niedługim. W roku 1915 wyszła książeczka tęgoż autora: „Jan Długosz, ojciec krajoznawstwa polskiego” — w 500-ną rocznicę jego urodzin.

Nakładem P. T. K. ukazała się w r. 1916 w drugim wydaniu praca p. E. Maliszewskiego: „Polacy i polskość na Litwie i Rusi”, w roku zaś bieżącym tęgoż autora: „Zachodnie dzielnice Polski”. Ta ostatnia książeczka zawiera opis Wielkopolski, Prus Królewskich i Pomorza, Pojezierza Mazurskiego i Warmji, Śląska Opolskiego i Cieszyńskiego wreszcie Spiszu i Orawy.

Osobno w końcu wspomnieć należy o wydanych przez P. T. K. „Pogadankach z przeszłości”. Jest ich razem 12, w tem 7 p. Al. Janowskiego: „Ziemia rodzinna”, „Wycieczka w Tatry”, „Z biegiem Wisły”, „Nasze bogactwa kopalne”, „Wycieczka do Krakowa”, „Stara Warszawa” i „Nad brzegiem Bałtyku”, dalej p. R. Jakimowicza: „Życie ludzi przedhistorycznych”, i wreszcie p. A. Czerwińskiej: „Za Piastów i Jagiellonów”, „Świątynia Polski”, „Z czasów upadku i odrodzenia” i „Walki o niepodległość”. Wszystkie te pogadanki tworzą całość, obrazującą przeszłość i stan obecny naszego kraju.

M.



Nowe książki.

(W rubryce tej podawać będziemy stałe tytuły książek, nadesłanych do redakcji „Ziemi”. W ten sposób czytelnicy nasi informowani będą o wszelkich nowościach z dziedziny krajoznawstwa i pokrewnych gałęzi wiedzy).

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI M. ARCTA W WARSZAWIE:

- DR. IGNACY BARANOWSKI. *Krótki zarys dziejów wsi polskiej*. (Biblioteczka historyczna I). 1917.
— *Przemysł polski w XVI wieku*. Z pośmiertnego rękopisu wydał K. Tymieniecki. 1919.
- ADAM CHĘTNIK. *O Kurpiach*. Z 6 rycinami. 1919.
- BOHDAN DYAKOWSKI. *W góry, w góry, miły bracie!* Opowiadanie na tle wakacji uczniowskich w Tatrach. Z sześcioma kartonami i licznymi rycinami w tekście.
- DR. REGINA DANYSZ-FLESZAROWA. *Geografia dawnych ziem Polski*. Książka do czytania, polecona przez wydział pedagogiczny Polskiej Macierzy Szkolnej w Warszawie. Z 85 rycinami i 2 mapami. 1918.
— *Nasze góry*. 1919.
- D. GAYÓWNA. *Geografia. Część I. Krajoznawstwo ziem dawnej Polski*. Wydanie trzecie, dla szkół wiejskich, z 147 rysunkami i mapą. 1918.
— *Geografia. Część I. Krajoznawstwo*. Z 135 rycinami, planem Warszawy i mapą. Wydanie czwarte. 1919.
- DR. W. HABERKANTÓWNA. *Z naszych wycieczek*. Z 39 rycinami. 1918.
- ALEKSANDER JANOWSKI. *Chelmszczyzna*. 1918.
— *Nasza ojczyzna*. 1919.
— *Nad polskim morzem*. 1919.
- W. JEZIEŃSKI. *Zarys geografii Polski*. Wydanie II. 1916.
- DR. K. KONARSKI. *Kultura polska na Rusi*. (Bibl. hist. 20). 1918.
— *Polska, jako przedmorze Europy wobec wschodu*. (Bibl. hist. 22). 1918.
- I. W. KOSMOWSKA. *Domy ludowe u obcych i u nas*. 1918.
- STANISŁAW KOSZUTSKI. *Geografia gospodarcza Polski (historycznej i etnograficznej)*. *Bogactwo i wytwórczość*. 1918.
- KAZIMIERZ KULWIEC. *Polska w granicach naturalnych i historycznych*. Z 30 mapami i rycinami. Wydanie drugie. 1919.
- S. ŁAGANOWSKI. *Geografia w zakresie szkół średnich. Część III. Europa*. Podług d-ra I. J. Egli, opracował i uzupełnił... Wyd. II. 1916.

STANISŁAW MAX. *Mapa Polski i krajów ościennych*. Wydanie czwarte.

WACŁAW NAŁKOWSKI. *Geografia fizyczna*. Wydanie drugie, przejrzał i przerobił prof. dr. L. Sawicki. 1918.

DR. EUSTACHY NOWICKI. *Lwów. Dzieje bohaterskiego grodu*. Z 6 rysunkami. 1919.

TADEUSZ RADLIŃSKI. *Geografia. Część I. Wiadomości wstępne*. Z 108 rysunkami i tablicami. Wyd. trzecie. 1918.

— *Geografia. Część II. Pięć części świata (poza-europejskie)*. Z 110 rysunkami i 40 mapami. Wyd. trzecie. 1918.

— *Geografia. Część III. Europa*. Wyd. drugie ze 100 rysunkami i 43 mapami. 1918.

— *Geografia Polski*. 1919.

PAWEŁ SOSNOWSKI. *Geografia Polski w dawnych granicach*. Z wieloma rycinami i mapami. Szósty tysiąc. Nakład Pol. Tow. Krajozn. Skład główny w księgarni M. Arcta. 1919.

WACŁAW SZELAŻEK. *Warszawa w poezji polskiej*. 1918.

— *Krajobraz w poezji polskiej*. 1919.

LEON WASILEWSKI. *Śląsk polski*. 1915.

WYDAWNICTWA BIURA PRACY SPOŁECZNEJ:

WŁODZIMIERZ WAKAR. *Rozwój terytorjalny narodowości polskiej. Części trzy*. Warszawa — Kielce. 1917 — 1918.

T. SZTUM DE SZTREM. *Zaludnienie Królestwa Polskiego wobec wojny*. Warszawa 1918.

INŻ. R. INGARDEN. *Komunikacje wodne a rozwój ekonomiczny Polski*. Kraków 1919.

L. DURA. *Mapa rozsielenia ludności polskiej*. Skala 1:2,000,000.

EDWARD MALISZEWSKI. *Mapa narodowościowa ziem polskich*. Skala 1:2,000,000.

Następny zeszyt „Ziemi” ukaze się w końcu września, również w zwiększonej objętości. Będzie on w znacznej części poświęcony naszym dzielnicom zachodnim oraz ukształtowaniu ich granic, jakie przeprowadził traktat wersalski.

TREŚĆ: Do naszych Czytelników. Kazimierz Kulwiec — Na Zmartwychwstanie. Edward Maliszewski — O polskie nazwy geograficzne. Stanisław Łoza — Belweder. Bolesław Ślaski — Spław i splawniecy na Wiśle (dok.). Marjan Mechowicki — Z podróży do Australji (c. d.). Franciszek Gawętek — Żółkiew (c. d.). Al. Janowski — Żegluga na Dniestrze (c. d.). E. M. — Zmarli krajoznawcy. — Miasto Równe na Wołyniu. Stanisław Pawłowski — Przeglądy literatury krajoznawczej I: Handbuch von Polen. — Ze stowarzyszeń. — Z piśmienictwa. — Oceny i sprawozdania. — Nowe książki.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA W WARSZAWIE, ULICA KAROWA 31. TELEFON 42-50.

Redaktor EDWARD MALISZEWSKI.

Wydawca KAZIMIERZ KULWIEC.